

Johannes Janusz Erdmann



EUROPEJCZYK?

czyli Żywot człowieka poczciwego
w Polsce 1937 — 1987

TOM I

Kochana Mamo.

W pierwszym tomie Europejczyka? zostały zawarte nasze wspólne przeżycia. Chciałbym Ci przekazać tyle moich wrażeń i tak wiele Tobie powiedzieć. Lecz byłyby to tylko słowa. Pozwól więc, bym Ci mógł chociaż tym sposobem za wszystko podziękować, co Ty w swoim życiu dla mnie uczyniłaś.

Mojej Mamie – Helenie

Syn Johannes Janusz Erdmann

Motto I – W czasie naszego istnienia, zawsze najciekawsze są tak zwane „życiowe drobiazgi”.

Johannes Janusz Erdmann

Być może, że w mojej książce znalazło się zbyt wiele „życiowych drobiazgów”. Jednak z uwagi na ich znaczenie, nie potrafiłem ich pominąć.

Wiem, że autobiografia zawiera w sobie „ pewne życiowe fakty”. Czy i ja z tego powodu pisząc swoją książkę, miałbym się w niej ograniczyć tylko do stwierdzenia, że :

Johannes Janusz Erdmann urodził się w dniu..? - I jeszcze nie wiedząc o tym kiedy zejdzie z tego świata, w dalszym ciągu na nim przebywa”? I to by miało stanowić o treści mojej książki ?

„EUROPEJCZYK ?“ - jest książką, w której Johannes Janusz Erdmann przedstawia czytelnikowi losy człowieka urodzonego w Polsce, wywodzącego się z mieszanego małżeństwa polsko-niemieckiego w epoce, gdy takie pochodzenie natrafiało na rozmaite trudności. Opisuje swoje życiowe doznania, którymi go życie darzyło, zarówno w Polsce, jak i w Niemczech (RFN).

Ojciec Johannes Erdmann'a był Niemcem a Matka Polką. Rodzice pobrali się w 1924 roku. W 1937 roku doczekali się potomstwa. W dwa lata później, nastąpił wybuch II wojny światowej. Od 1944 roku, na skutek śmierci męża i ojca, sytuacja rodziny zaczęła się radykalnie zmieniać.

W 1945 roku, po wkroczeniu wojsk radzieckich, Erdmannowie zmuszeni zostali do opuszczenia mieszkania. Matka za podpisanie tak zwanej Volkslisty, stanęła przed sądem, a następnie została umieszczona w Obozie Pracy Przymusowej, w okolicach Krośniewic. Po ucieczce z Obozu, wyrokiem sądu skazano ją na odbywanie kary, w więzieniu w Wałbrzychu, na ówczesnie tak zwanym „Dzikim Zachodzie”, czyli na Dolnym Śląsku. Autor większość życia spędził w Wałbrzychu.

Terenem kolejnych zmagania o przetrwanie, nie była już Polska. We wrześniu 1987 roku, przenosi się wraz z rodziną na pobyt stały do Niemiec (Bundes Republik Deutschland) i w Kraju swoich przodków rozpoczyna życie od nowa.

W swej książce, autor w sposób szczególny stara się zwrócić uwagę na niezwykle bolesne schorzenie dzisiejszej cywilizacji, której panującym się, „owocem” jest Mobbing, czyli psychoterror którego i on stał się ofiarą.

Jednym z celów tej książki, jest wzbudzenie refleksji, nad losem, odczuciami i przemyśleniami autora i jemu podobnych nie tylko u Czytelników, ale i tych, którzy są współodpowiedzialni, „za całe zło, które na tym świecie w sposób bezpardonowy i brutalny ukazuje swoje prawdziwe oblicze” .

Johannes Janusz Erdmann - urodził się w Krośniewicach w województwie łódzkim. W roku 1946 osiedlił się wraz z matką na Dolnym Śląsku. W roku 1950 podejmuje naukę w Technikum Ceramicznym. Będąc na trzecim roku ją przerywa. Stawiając swoje pierwsze samodzielne kroki, podejmuje pracę w Zakładach Porcelany Stołowej „Krzysztof” w Wałbrzychu. Tu pogłębia swoje wiadomości i tajniki produkcji porcelany, pracując na stanowiskach: Starszego referenta Kontroli technicznej, Technika normowania, Mistrza Działu Szlifierni, Kierownika Białego Magazynu, czy malarza ceramicznego.

Warunki materialne nie zadawały jego oczekiwań. Uczy się malarstwa budowlanego. W roku 1969 zdaje pomyślnie egzamin końcowy, dający mu możliwość używania tytułu: Mistrza w zawodzie Malarz Budowlany. Następnie, podejmuje naukę w Technikum Budowlanym dla Pracujących. W 1971 roku uzyskuje tytuł Technika Budowlanego. W tej Szkole zostaje przyjęty na stanowisko Kierownika Administracyjnego. W okresie od 27.12.1972-29.01.1973 jest słuchaczem Kursu Pedagogicznego dla Nauczycieli Zawodu, który kończy z wynikiem pozytywnym. W roku 1973 podejmuje pracę w Politechnice Wrocławskiej – Filii w Wałbrzychu na stanowisku Zastępcy dyrektora do spraw technicznych i administracyjnych.

Jest absolwentem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Z dniem 10.07.1976 obejmuje stanowisko Kierownika Wydziału Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki w Urzędzie Miasta w Wałbrzychu. Z uwagi na stan zdrowia, w roku 1979 przechodzi na czasową rentę. W okresie od 1979-1986, zamieszkiwał w Lubominie, gdzie wraz z żoną prowadził fermę drobiu.

W roku 1987 wspólnie z żoną wyjeżdżają na pobyt stały do Niemiec (BRD), gdzie w Kraju swoich przodków rozpoczynają życie od nowa! Z chwilą ich przybycia do Niemiec, przebywali w

obozie przejściowym we Friedlandzie,skąd po niezbyt długim pobycie,zostają przeniesieni do obozu w Unna Massen.

I tutaj,podobnie jak we Friedlandzie trwa porządkowanie ich dokumentów,po czym,z uwagi na ich prośbę,zostają przewiezieni do kolejnego obozu do Krefeld.W czasie 29.02.1988-03.07.1988 jest słuchaczem Kursu języka niemieckiego w Benedict Sprachschule w Krefeld.

W okresie od 04.07.1988 - 19.01.1990 jest zatrudniony w Firmie „Securicor Deutschland GmbH” z siedzibą w Düsseldorfie.Miejscem jego pracy,stała się angielska firma „Navi”,mieszcząca się w Kempen.W tej firmie,został zatrudniony jako portier,oraz strażnik obiektu.Czas jego pracy trwał dwanaście godzin dziennie. W czasie od 19.09.1990 - 09.02.1991,z uwagi na stan zdrowia przebywał w szpitalu (*operacja!*).W tym czasie,otrzymał Kündigung (wypowiedzenie warunków umowy o pracę),stając się tym samym „Arbeitslos”,czyli bezrobotnym.W okresie od 05.11.1991-31.12.1995 jest zatrudniony w Firmie,„Theo Wellen Nahrungsmittelfabrik” w Krefeld jako Maschinenführer (*pracownik obsługi – jący maszynę - maszynista*)W czasie 15.01.1996-18.06.1996 powa – dzi własną firmę malarską,po czym przechodzi na rente.

Jest autorem książki noszącej tytuł: „EUROPEJCZYK?”.W 2001 roku podczas trwania Konkursu Poetów Emigrantów w USA,ze strony Wydawnictwa Artex Publishing otrzymał Honorowy Dy – plom Uznania za jego wiersz,„*O bajkach Ignacego Krasickiego*”, który został opublikowany w VIII Tomie Antologii Poetów Emigrantów.Jego twórczość była też publikowana między inny – mi w wydaniach: „Jan Paweł II we wspomnieniach polsko – niemieckich” (Dortmund-Opole 2006). „Słowa wypuszczone na wolność” „Wybór wierszy poetów na emigracji” „Wierszobranie, czy,„*Moje wiersze-Moje kwiaty*” (*audiobook*).Swoje spostrzeżenia oraz swoje własne zdanie,stara się przekazywać na swojej stronie

www.erdmannjohannes.de, których inspi- ratorem jak powiada, jest samo życie. Jest współredaktorem „Przeglądu Dziennikar - skiego”, na łamach którego publikuje swoje artykuły.

Jak się okazuje, to pomimo tak długiego okresu „dojrzewania” jego książki, to jednak w sposób niezmienny, na poczesnym miejscu jego zainteresowań znajdują się ludzkie losy, oraz ich tragedie, a wraz z nimi, w sposób oczywisty, między innymi, wyła- nia się sprawa integracji.

„Integracja społeczna” - Jest to jednocześnie zjawisko pełne sprzeczności, gdyż wymaga akceptacji obu stron, co nie jest sprawą oczywistą, gdyż może oznaczać konieczność wyrzeczenia się przez jedną, lub obie strony w pełni, lub w części swoje tożsa - mości.”

Spis treści:

Podziękowanie – Motto, oraz wstęp - strony: 01 – 05

- 1 Rozdział I.....Na rozdrożach (str.6 – 84)
- 2 Rozdział II.....Dziki Zachód (str.84 – 207)
- 3 Rozdział III.....Diabelska dolina (str.207 – 430)
- 4 Rozdział IV.....(Nie) złote jajko (str.430 – 467)
- 5 Rozdział V.....Stan wojenny (str.467 – 537)
- 6 Rozdział VI....Niełatwa decyzja, by móc uniknąć szachowego mata. (str.537 – 574)
- 7 Zdjęcia wraz z opisem.....575 - 577

ROZDZIAŁ- I NA ROZDROŻACH

To musiał być koniec grudnia, lub początek stycznia 1945 roku. Tego okresu już zbyt dobrze sobie nie przypominam, ponieważ wówczas liczyłem niespełna 7 lat. Było późne popołudnie. W mieście panował niesamowity popłoch. Ludzie przemykali ukradkiem jak cienie. Wszyscy sprawiali takie wrażenie, jak by byli wystraszeni. Na ich twarzach, można było wyczytać przerażenie. Wszystko to, wynikało z racji zbliżającego się frontu.

Wojska radzieckie staczały już zacięte boje pod Kutnem, tj. w odległości niespełna 14 kilometrów od Krośniewic. Słychać było nieustanny warkot samolotów, które w powietrzu staczały zacięte bitwy. Z nastaniem zmroku, na niebie widoczne były świetliste smugi reflektorów. Co pewien czas, spadała z nieba świetlista kula niczym meteor. Lecz to nie była kula i to nie był również meteor. W ten sposób spadały na ziemię samoloty, które zostały trafione przez przeciwnika, i w nich dopalały się szczątki ludzkiego istnienia...

W takiej scenerii, przy akompaniamencie charakterystycznego pomruku zbliżającego się frontu, znalazłem się późnym popołudniem wraz z Mamusią na skrzyżowaniu ulic Kolejowej i Poznańskiej. To właśnie tutaj, wyznaczyli sobie spotkanie członkowie rodziny Erdmann. Z późnego popołudnia, zrobił się wieczór. W dalszym ciągu niebo rozrywały świetliste warkoczce ognia. Moi krewni, wraz z Mamusią rozstrzygali teraz o swojej przyszłości. Rozmowa, którą oni prowadzili, mnie zbyt mało interesowała. Mnie, fascynowały te nieustannie latające po niebie smugi reflektorów i te przedziwne, nie znane mi przecież dotychczas dźwięki, których źródła nie byłem w stanie wytłumaczyć? Na tle członków mojej dosyć licznie tu zebranej rodziny, którzy ubrani byli, można by powiedzieć wykwintnie, że nie powiem wizytowo (*futra, rekawiczki, szaliki, kapelusze?*), to

ja,byłem ubrany co najmniej dziwnie?Ponieważ miałem na sobie płaszczyk,czapkę futrzaną ze srebrnych królików,spodnie rajtki i co ciekawe w tym wszystkim to to,że miałem przewie – szonego przez szyję lisa?

Obecnie,zdaję sobie sprawę z tego,że to musiał być szczyt paniki,podczas której właśnie teraz,rozstrzygały się losy niemieckie rodzin,które w wyniku zbliżającego się frontu,zostały zmuszone do podjęcia radykalnych decyzji.I tego rodzaju decyzja,po dosyć długo trwających rozmowach,została przez rodzinę Erdmann podjęta!Lecz jak się okazało,to rozmowy,które trwały w trybie przyspieszonym,nie przyniosły oczekiwanych rezultatów.Dotyczyły one wspólnego opuszczenia miasta.Przyczym,Mamusia optowała przy pozostaniu,natomiast pozostali członkowie rodziny,uważali za słuszne i konieczne,opuszczenie miasta.

A zatem,kości zostały rzucone!Rodzina ze strony mojego Ojca(*który zmarł w 1944 roku*)jeszcze tej nocy opuściła miasto i jak się po latach okazało,po to,aby się już nigdy z nami nie zobaczyć.Do domu,wróciliśmy bardzo późnym wieczorem.To nasze mieszkanie,wydało mi się takie zimne i takie strasznie smutne.Na drugi dzień,udaliśmy się do moich dziadków Bigoszewskich,z którymi wspólnie zamieszkiwał ich syn,a mój wujek Mietek.Nie rozumiałem dobrze sensu ich rozmowy,którą Mamusia prowadziła ze swoimi rodzicami.Jednak ja,w tych dla mnie (jeszcze) przedziwnie zasłyszanych słowach,odczuwałem jakąś oschłość i niechęć i to zarówno w stosunku do Mamusi,jak i do mnie.Obecnie,zdaję sobie doskonale sprawę z tego,że aby dobrze zrozumieć to wszystko,co się wówczas działo,to powinienem być nieco starszy.Ja jednak wówczas,miałem zaledwie siedem lat.

Wydaje się za słuszne w tym miejscu wspomnieć,iż w dniu 19.XI.1924 roku,w Krośniewicach został zawarty związek małżeński między Heleną Bigoszewską,a Arturem Erdmann.

Warto również i o tym wspomnieć, że wówczas rządy w Polsce sprawował Józef Piłsudski. Na podkreślenie zasługuje również i ten fakt, że był to okres, w którym to nikomu nie wypominano jego pochodzenia, czy też narodowości.

Właśnie w takim to okresie czasu, moi rodzice zawarli ten związek, nie przewidując jego następstw. Jednak pomimo panującej jak by się to mogło wydawać tolerancji, to jednak ze strony obu rodzin, tak Bigoszewskich jak i Erdmann'ów dawały się dostrzegać wyrazy niezadowolenia, z racji tego mezalian-su. Wyglądało to zupełnie podobnie, jak to się miało w rodach zwaśnionych (*Romea i Julii, czy we Fredrowskiej „Zemście“*). Bo podobnie i w tych Rodach wspomniano i nieustannie wypominano ten mezalian, który został popełniony przez Helenę, oraz przez Artura małżonków Erdmann. To nieustannie trwające niezadowolenie, było okazywane w sposób szczególnie dobitny, przez moją Babcie Juliane Erdmann, która wywodziła się z rodziny Bernhardt'ów. Powód tego niezawdowolenia był na pozór błahy. Mój Ojciec był Niemcem a Mamusia była Polką. Za wcześniej wówczas było by mi pytać o to, kim ja w tym przypadku byłam?

Babcie Juliane Erdmann, z domu Bernhardt, pamiętam jak by przez mgłę. Mieszkała w swoim sześciu rodzinnym domu przy ulicy Kutnowskiej pod numerem 21. Ojciec dosyć często odwiedzał swoją Matkę, nierzadko zabierając i mnie ze sobą. Była kobietą słusznego wzrostu. Mieszkała samotnie, żyjąc ze swoim mężem w separacji. Mieszkanie miała dosyć skromnie urządzone. Kiedykolwiek tam byłam, to zawsze moją uwagę przykuwała ogromna ilość jej butów.

Kiedy byłam już nieco starszy, to pewnego dnia, zapytałem moją Mamusię, po co tej Babci Erdmann, potrzebnych jest aż tyle butów? Wówczas Mamusia mi tak powiedziała: „Widzisz synku, na świecie są tacy ludzie, którzy mają po 30 par butów i są również i tacy, którzy chodzą wciąż na bosy, bo ich jnie stać

na żadne buty“.Na koniec Mamusia dopowiedziała: „Ale ty synku,to dzięki Bogu masz jeszcze w czym chodzić”.

Powracając jednak do naszego pobytu u moich dziadków Bigoszewskich,to doprawdy,że do dziś nie wiem z jakiego powodu Babcia Bigoszewska kiedykolwiek by to było,to zawsze nazywała mnie Janek,mimo,że przecież ja miałem na imię Johannes,to znaczy Janusz. Jak byłem u Babci Erdmann,to ta Babcia nazywała mnie Johannes.Natomiast Babcia Bigoszewska,mówiła na mnie Janek?Jednak nigdy Babcia Bigoszewska nie nazywała mnie imieniem zdrobniałym,to znaczy „Januszek“.Tym imieniem,nazywała mnie tak ciepło i tak pięknie moja kochana Mamusia.

W moim domu rodzinnym,rodzice rozmawiali zawsze po niemiecku.Ja też(*jeszcze wówczas*),doskonale posługiwałem się językiem niemieckim i(*podobno*) rozmawiałem Hochdeutsch. Lecz co też ta wojenna propaganda nie potrafi !Dzięki niej właśnie,można by powiedzieć,że w każdej chwili,został z mojej pamięci wykreślony ten język,(*którego,jak sie po latach okaże*) będę się starał nauczyć,zaczynając wszystko od początku.

Pewnego dnia,będąc u Babci Bigoszewskiej,spoglądając przez okno,został mi pokazany plakat wojenny,który był rozklejony na ścianie jednego z sąsiadujących ze sobą domów. Ten plakat,przedstawiał wąsatego draba (*Stalina*)który trzymał w obu rękach topór.Przed nim,klęczał człowiek,(*niemiecki jeńiec wojenny*),którego głowa spoczywała na pniu.Moja Babcia, wskazując na ten plakat,wówczas powiedziała „Janek,jak ty jeszcze raz wypowiesz chociaż by jedno słowo po niemiecku, to ci zetną głowę tak,jak temu na plakacie“!Ta informacja była dla mnie na tyle szokująca i podziła na mnie tak,że ja rzeczywiście,w tej samej chwili zapomniałem mojego Hochdeutscha.

Po wycofaniu się wojsk niemieckich,do miasta wkroczyły wojska radzieckie.Jako pierwsze,wjechały czołgi.Mieszkańcy miasta,zgotowali„wyzwolicielom“owacyjne przyjęcie.

Między innymi, w sąsiednim domu, w którym mieszkała moja „przyszywana” ciocia Światowa, również goszczono „pancernia-ków”. W największym pokoju u „Cioci” zebrało się bardzo wielu mieszkańców miasta, wraz z dziećmi. Przyjęcie upływało w bardzo miłej, w bardzo ciepłej i w bardzo serdecznej atmosferze. Rozmawiano o „Germańcach”, słychać było nieustannie pytania „kuda na Berlin”? Czołgiści rozdawali prezenty, w tym były również harmoniki, skrzypce, słodycze, oraz wszelkiego rodzaju zabawki. Wszystkie dzieci coś otrzymały, lecz ja nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, dlaczego mnie nikt nie obdarował chociażby jednym cukierkiem...?

W mieście, czasowo przebywał jeden ze sztabów dowodzenia. Kwatermistrz wyznaczył właśnie jeden z naszych pokoi, na kwaterę dla członka sztabu. Mówiąc ściślej, to kwaterę dla adjutanta generała, (*który był w stopniu półkownika*). I właśnie on, w pewnym dniu wszedł do naszego mieszkania, pragnąc zapewne się rozejrzeć po swojej przyszłej „kwaterze”. Mamusia została nieco wcześniej powiadomiona o jego przybyciu, (*zgodnie z „instrukcją „Babci Bigoszewskiej”*), ubrała się i ucharakteryzowała się tak, że i stu letni starzec by na „to” nie spojrzął. Mimo to, sztabowiec u nas zamieszkał. Jak się wkrótce okazało, był to bardzo zacny i pochodzący z dobrej rodziny człowiek. Był dla nas bardzo dobry. Nie pozwalał na to, by nam (*jako Niemcom*) wyrządzano jakąkolwiek krzywdę. Miał na imię Lonia.

Pewnego razu, rosyjscy żołnierze przyprowadzili na podwórze krowę, którą zabili i dzielili pomiędzy okolicznych mieszkańców. Oczywiście, że każdy musiał im coś w zamian za otrzymane mięso dać. Już tego nie pamiętam co im Mamusia za to mięso dała? W każdym razie, to musiało „wyzwolicielem” przypaść do gustu, jeśli oni w zamian „za to” odpalili Mamusi cały tylny krowi zad! Wielka radość wokół panowała i my również cieszyliśmy się z tego nabytku, który z uwagi na panujące mrozy schowaliśmy na strychu.

Na drugi dzień, Mamusia poszła na strych, chcąc ukroić z tego zadu kawał mięsa i podzielić się nim z dziadkami. Jednak ku swojemu przerażeniu, stwierdziła, że po mięsie nie pozostało ani śladu! Po długim wachaniu, postanowiła jednak podzielić się tym smutnym spostrzeżeniem z naszym „sztabowcem” – półkownikiem Lonią. Półkownik, w bardzo krótkim czasie znalazł winnych, którzy za ten *jego zdaniem*) niegodny czyn, zostali odpowiednio ukarani. Lecz niestety, ale mięsa nam już nie zwrócono. Jedni dali, a ci drudzy zabrali! Takie to były „interesy” z tymi rosyjskimi „wyzwolicielami”.

Do tego czasu, gdy sztab przebywał w mieście, my żyliśmy w miarę spokojnie. Jednak z chwilą kiedy wojska rosyjskie wyruszyły na Poznań, to w naszym życiu, nastąpiła radykalna zmiana. W dniu 30.01.1945 roku, zostaliśmy zmuszeni do oddania radia. Kolejne dni, mijały w atmosferze wielkiej niepewności. Z zasłyszania, wiedzieliśmy już o tym, że takich jak my, to wyrzucają z domów. I po kilku dniach, podobnie stało się i z nami. Pewnego dnia, do drzwi naszego mieszkania, zapukała grupka ludzi, (*w liczbie czterech osób*), którzy oświadczyli nam, że są Komisją mieszkaniową. Po krótkiej rozmowie, którą przeprowadził z Mamusią Przewodniczący Komisji, ustalono, iż w dniu jutrzejszym, musimy opuścić nasze mieszkanie i ponadto, Komisja zaleciła, aby Mamusia pozostawiła część mebli, oraz pewną ilość niezbędnych przedmiotów domowego użytku. Na zwykłej kartce papieru, zostało wyszczególnionych 17 pozycji. Na odwrocie tego smutnego dokumentu, po wielu latach, do - czytałem się informacji, która została naniesiona ręką mojej Mamusi, z której to dowiedziałem się o tym, kiedy i która rodzina i co ta rodzina przejęła po nas w swoje posiadanie, z chwilą wprowadzenia się do naszego przecież mieszkania.

Był bym jednak człowiekiem nieprawdomównym, gdybym powiedział, że pamiętam dzień, w którym zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia naszego mieszkania.

Jednak pamiętam do dziś, atmosferę, oraz miejsce, w którym przyszło nam żyć przez kolejne miesiące. Nie mając żadnych innych możliwości, by znaleźć dla nas „kawałek dachu nad głową”, na drugi dzień, przenieśliśmy się do komórki, która się znajdowała za domem, w którym mieszkali moi dziadkowie Bigoszewscy. Była to drewniana rudera, nie posiadająca ani wody, ani światła i do tego jeszcze, ani jednego okna, „na świat”. Przylegała ona do innej, nieco lepszej i nieco solidniejszej rudery, z której po pewnym czasie, skąd inąd bardzo zaradny i bardzo przedsiębiorczy Pan Gmerek, przystosował ją jako magazyn na ziarno. Dopóki nie było ziarna, to nie było również i innych „nieproszonych lokatorów”. Ale z chwilą, gdy sąsiednia rudera została wypełniona ziarnem, to od tego czasu, przyszło nam współżyć z puszystymi myszkami, oraz nieco mniej przyjemnymi szczurami.

Nasza nowa kwatery, jak na ironię losu (*o czym już wspominałem*), znajdowała się w sąsiedztwie mieszkania moich dziadków, to znaczy, w podwórzu przy ulicy Ostrowskiej 6 (lub 10?). Tutaj spędzaliśmy nasz żywot przy lampie naftowej, w towarzystwie mysz i szczurów. Mieszkańcy pobliskich domów, przyglądali się nam i w znaczący sposób wymieniali między sobą uwagi, nieustannie wskazując palcami w naszą stronę? Ja, będąc przecież jeszcze takim małym chłopcem, odnosiłem wrażenie, że ci ludzie, to to nasze, „zrządzenie losu”, a inaczej mówiąc, to nasze przeznaczenie, odbierali jak gdyby z pewną satysfakcją.

Być może, że nie było by w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że Mamusia urodziła się przecież w Krośniewicach i że ci ludzie, w tak jeszcze nie odległym przecież jeszcze okresie czasu, uważali i traktowali Mamusię tak, jak swoją najbliższą znajomą, czy też koleżankę? Jednak, okazuje się, że pewne pojęcia, oraz określone stereotypy, w miarę upływu czasu, również ulegają pewnym przekształceniom.

Mijały tygodnie, tego naszego nie ciekawego, jakże smutne-

go i jednocześnie zimnego życia! Tego roku, zima była szczególnie dokuczliwa. Mamusia była nieustannie wzywana na Mielicje. Tu ją przesłuchiowano i zadawano jej wciąż nowe pytania. Natomiast ja, nie będąc jeszcze w pełni świadomy powodu tych zmian, które w moim życiu nastąpiły, wypełniałem swój czas, chodzeniem do szkoły i w miarę możliwości, bawiłem się z moimi, niestety, ale niezbyt licznymi już kolegami.

W szkole, bywało różnie. Często wracałem pobity, a bywało i tak, że wracałem i bez tornistra. Pamiętam, że pewnego dnia, do szkoły przybyło pewne małżeństwo i do tego jeszcze, jak wieść niosła, mówiono, że oni tu przybyli aż z zagranicy! Pan kierownik szkoły i nauczyciele, odnosili się do tych Państwa z ogromnym szacunkiem. Podczas jednej z lekcyjnych przerw, uczniowie z całej szkoły, na szkolnym podwórzu, ustawili się dwójkami, a ci mili ludzie, jakże pięknie ubrani, przechodzili koło nas, przypatrując się nam bardzo dokładnie? W tym czasie, kiedy ja na nich patrzyłem, to odnosiłem wrażenie, że to byli jednak zupełnie, jacyś inni ludzie, to znaczy, zupełnie niepodobni do tych wszystkich ludzi z Krośniewic. Bo oni, w przeciwieństwie do tych ludzi z Krośniewic, mieli niesłychanie miłe i przyjemne twarze. W tym czasie, gdy nas mijali, to uśmiechali się do nas tak miło i tak serdecznie. I w tym momencie, to również i mnie zrobiło się tak jakoś miło na sercu. Przez chwilę, zapomniałem o swoich troskach i cierpieniach, których mi to życie nie szczędziło. Podczas dokonywania przez nich tej „lustracji” , w pewnej chwili, ta para małżonków, *(której przez cały czas towarzyszył kierownik szkoły)*, zatrzymała się przy mnie, pytając mnie o moje nazwisko i imię? Odpowiedziałem bez wachania, że nazywam się Erdmann i na imię mam Januszek. Wszyscy uczniowie, po tej zbiórce, rozeszli się do swoich klas, a ja, na prośbę tych państwa, pozostałem z nimi. Pytali mnie, czy chciałbym zwiedzać świat? Czy kocham swoją Mamusię?

(O ta Tatusia nie pytali, bo już chyba wiedzieli, że jestem pół sierotą). Obecnie, jestem tego w pełni świadomy, że ci Państwo, to już o wiele wcześniej wiedzieli o mnie dużo więcej. Na koniec rozmowy, zapytali mnie gdzie ja mieszkam, i udali się ze mną do „mojego domu”.

Nie będę się starał w tym miejscu opisywać tych niesamowicie bolesnych, poniżających i nieludzko upokarzających scen, które wynikały z racji naszego zaistniałego stanu.

Mamusia, nie była przecież przygotowana na przyjęcie gości i jeszcze do tego, takich zagranicznych gości, wiedząc przecież doskonale o tym, jak by należało w normalnych warunkach, *(ale nie w tej „norze”)* Ich przyjąć? W tej sytuacji, nie trudno było się Mamusi dziwić, że ta wiadomość, o ich przybyciu, była dla Mamusi wiadomością katastroficzną!

Nasi goście, przeprowadzili z Mamusią, w mojej obecności bardzo długą rozmowę, przedkładając przy tym jakieś dokumenty, z treści których by miało wynikać, że jest to małżeństwo bardzo zamożne, lecz niestety, ale bezdzietne. Jak się okazało, to byli Szwajcarzy. W czasie rozmowy, ci ludzie starali się mnie jak i Mamusi nakreślić mój przyszły los i to co mnie w moim życiu może i jeszcze będzie czekało. W ich przekonaniu, to moje obecne, nieciekawe i smutne życie, oni pragnęli mi zmienić na lepsze i poprzez adopcję, uważali, że stanę się zupełnie innym, to znaczy szczęśliwym i beztroskim dzieckiem. W związku z czym, w czasie trwania tej rozmowy, przekazywali nam już obrazy i zdarzenia mojej jakże wspaniałej przyszłej egzystencji, oraz już z góry zapewnionej kariery życiowej. W tym rmiędzy innymi, ukończenia wyższych studiów, w ślad za tym, uzyskania wysokiej pozycji społecznej. W czasie trwania tej rozmowy, co pewien czas nie zapominali wspominać o czekającej mnie życiowej karierze. Gorąco zapewniali o tym, że wszystko to i jeszcze o wiele więcej, są mi w stanie zapewnić jako, że są bardzo zamożni.

I oni wypowiadając te słowa,zapewniali,że ja będę przez nich tak traktowany,jak bym był ich własnym synem.I mówiąc to jeszcze zapewniali,że z chwilą wyrażenia przez Mamusie zgody to będą mnie natychmiast adoptowali,dodając przy tym,że Mamusia będzie mnie mogła odwiedzać jeden raz w roku.Mamusia słuchała ich słów i zapewnień ze łzami w oczach,w żaden sposób nie starała się przyjmować do wiadomości tej ich skąd inąd dla mnie przewspaniałej propozycji.Zdawała sobie jednocześnie sprawę z tego,że sama nie była by w stanie nawet w tysięcznej części mi tego zapewnić,czego oni,to znaczy,ci tak mile wyglądający i przyszli,a jeszcze nie doszli dobroczyńcy.którzy zarówno mnie,jak i i Mamusi proponowali.

Jednak oni,pomimo widocznej niechęci,która wynikała z postawy i zachowania się Mamusi,uważali,że jeszcze nie wszystko jest stracone?Ponieważ oni znając naszą jakże kiepską sytuację (*i to nie tylko materialną*),zapropowowali Mamusi wysoką i do tego jeszcze wyższą niż pierwotnie,pieniężną rekompensatę.Można w tym miejscu powiedzieć,że,to były rozmowy bardzo trudne i bardzo wyczerpujące,które z naszego punktu widzenia,wydawało się,że trwają już przez całą wieczność.

Stąd też,z ci Państwo,z uwagi na ten niezmiennie trwający przebieg rozmowy,zapropowowali,aby Mamusia pomimo jej dotychczasowej odmowy,zechciała jeszcze raz,tak zupełnie na spokojnie się nad tym wszystkim zastanowić.A oni,jak sami zapewniali,powrócą tu po okresie tygodnia czasu,licząc na to, że usłyszą taką odpowiedź,która jak to sami wyrazili,zadowolili ich serca.I rzeczywiście!Po tygodniu czasu przybyli ci ludzie do nas,tylko po to,by móc usłyszeć z ust Mamusi to,co każda prawdziwie kochająca matka,znajdując się w takiej okoliczności,by mogła powiedzieć.To miłe,bezdzietne,bardzo bogate i tym samym,nieszczęśliwe małżeństwo,rozstało się z nami,mając przy tym pełne zrozumienie zarówno z powagi chwili,jak i z nie zmiennej Mamusi decyzji.

Z pełnym zrozumieniem i z ciepłymi słowami, żegnając się z nami, to każde z nich, ze wzruszenia miało w oczach łzy.

To wyjątkowe wydarzenie i spotkanie z ludźmi z zagranicy, w bardzo krótkim czasie poszło w zapomnienie. Ja dalszym ciągu uczęszczałem do szkoły, prawie, że w sposób niezmienny, to znaczy, że w dalszym ciągu, nierzadko wracałem ze szkoły z podbitym okiem. Swój wolny czas, między innymi wypełniałem bawiąc się z chłopakami w jeszcze niezapomnianą wojnę.

Pomimo podłej przecież sytuacji, w której się wciąż znajdowałem, to potrafiłem prawie zawsze obejmować przewodnictwo w dobranej grupie moich rówieśników. Tak było i w tym dniu. Z „kolegami” wybraliśmy się na pobliskie pole, po wykopkach ziemniaków. Jak zawsze, tak i tym razem podzieliliśmy się na dwie grupy, bawiąc się oczywiście, że w wojnę! Polegało to na tym, że obie grupy z przeciwnych sobie stron, rzucały na siebie kamienie, ziemniaki i co tylko było pod ręką. W pewnej chwili, po moim rzucie, jeden z „przeciwników” został trafiony, wydając przy tym okrzyk pełen bólu. Okazało się, że to ja go trafiłem, tym przede mnie rzuconym kamieniem. Z tą chwilą bitwa została przerwana. Wszyscy wiedzieli, że to ja go trafiłem i ukryć się tego już nie dało. A zresztą, gdyby którykolwiek z nas został trafiony, to przecież efekt był by taki sam. Bo przecież między nami, trwała wojna. *(Tak przez krótką chwilę sobie pomyślałem)*. Mimo to, nie namyślając się dłużej, to na wszelki wypadek, „biorąc nogi za pas”, inaczej mówiąc, zacząłem uciekać! Mając dosyć dużą przewagę nad goniącą mnie grupą, *(już w tej chwili nie „kolegów”)*, wpadłem do mieszkania moich dziadków, u których właśnie była również Mamusia. Błyskawicznie rozejrzałem się

Mamusia. Rozejrzałem się błyskawicznie za jakimś wolnym dla siebie miejscem i natychmiast usiadłem sobie najspokojniej w świecie, w moim ulubionym kąciку. Mądrość życiowa, która cechuje ludzi starszych, ma jednak i to do siebie, że właśnie oni

rozumieją te przedziwne zachowania się dzieci i nie tylko dzieci,które z bliżej nieznanego jeszcze powodu,znajdują się nagle w niezręcznej dla siebie sytuacji.Tak było niestety i w moim przypadku.Zapytano mnie oczywiście tak,jak gdyby od nichce-
nia,czy przypadkiem czegoś nie nabroiłem?Już miałem zamiar
odpowiedzieć,że oczywiście,że nie.Lecz nie dane mi to było,bo
w tej samej chwili otworzyły się drzwi prowadzące do miesz-
kania i w nich ukazała się cała gromada chłopaków,na czele
której,stał ojciec tego chłopca,którego ja w czasie trwającej
przed chwilą,,wojny“tak urządziłem.Oczywiście,że wystarczyło
tylko na niego popatrzeć,to już każdy z moich kochanych
krewnych,bez zadawania mi dodatkowych pytań,mógł się już
sam wszystkiego domyśleć.

Stąd też,najprawdopodobniej,to tak „na wszelki wypadek“
kto z moich kochanych krewnych tylko mógł,to mnie grzmocił
ile tylko miał sił w swoich rękach!Nikt mnie w tym czasie
już nie pytał o to co się stało?Nikt mi nie zadawał żadnych,ale
to żadnych pytań?W tym czasie,trwała młócka,w czasie której
wszyscy jak jeden mąż,mnie grzmocili,a wśród nich,była rów-
nież i moja kochana Babcia,taki zawsze kochaniutki Dzia-
dziuś,mój ukochany wujaszek Mietek i na dodatek,jeszcze i
moja najukochańsza Mamusia.Podczas trwania tej młócki,my-
ślałem sobie,że też akurat musiało się tak zdarzyć,że Mamusia
przy tym była?A oni walili we mnie jak w przysłoiowy bęben!
Nieco później,to moi kochani krewni mi wyjaśnili,że z uwagi
na to,co ja nabroiłem,to oni uważali za konieczne przyjąć
właśnie taką postawę(*to znaczy waleniem mnie*) by móc
wykazać i to zarówno wobec pokrzywdzonego chłopaka,jak i
wobec jego ojca,swoją z nimi solidarność,dajac tym samym im
do zrozumienia po czyjej oni są stronie.

Po tych „omłotach”z ojcem tego chłopca,wszczęto nieco
poważniejszą i już bardziej spokojną rozmowę.W następnym
dniu,dotarła do nas informacja,z treści której wynikało,że ta

„wojna“ będzie Mamusie kosztowała,„tylko“ 500 złotych (*za obdukcje*).Jak na tamte czasy,to trzeba sobie powiedzieć,że były to nie tylko duże ale bardzo duże pieniądze!A przecież nasza sytuacja materialna,była bardzo kiepska!

Na drugi dzień,najwidoczniej moich kochanych krewnych zaczęły nawiedzać,„wyrzuty sumienia“?Ja udawałem,że nikogo nie widzę,a oni szukali wciąż okazji aby zamienić ze mną chociaż jedno słowo.Wreszcie dorwali mnie,jak sobie siedziałem przy oknie i bezmyślnie wpatrywałem się na mur okalający posiadłość Hrabiny Rembielińskiej.W pewnej chwili,Dziadzius tak zaczął: „No sam wiesz,że trzeba ci było troche tą skórę złoić.Przecież napewno wiesz,za co oberwałeś?A jak może nie wiesz,to ja ci powiem.Lanie dostałeś za to,że rzucałeś kamieniami i za to,że przeciąłeś mu łuk brwiowy.O mało co,nie wybijając temu chłopakowi oka”. „Ale mu go przecież nie wybiłem”odburknąłem niegrzecznie pod nosem. „A po drugie“,- Dziadzius kontynuował „to ci powiem,że z tobą mogło by być jeszcze gorzej.Chyba wiesz,że ojciec tego chłopaka,to jak na Krośniewice,jest wielką figurą partyjną.On to tu wszystko może“.....

Biedna Mamusia musiała niestety właśnie i z tego powodu zapłacić tak wysoko naliczone kosztą ,za tą jakąś obdukcję.Po tym,„wypadku na wojnie“ ,już nie mogłem się sam pokazywać na ulicy.Moja biedna Mamusia,w dalszym ciągu co dziennie musiała się meldować na posterunku milicji.Ja,wcale nie rozumiałem o co w tym wszystkim tutaj chodzi i dlaczego oni Mamusie tak wciąż męczą?

Pewnego dnia,dowiedziałem się od kolegi,który dotarł na moje podworko,że moją Mamusie sądzą w pobliskiej żwielticy, która znajdowała się przy ulicy Ostrowskiej w pobliżu strażackiej remizy.Ja,nie czekając już końca tej jego relacji,natychmiast pobiegłem ile tylko mi sił w nogach starczyło i sam nie wiem jak i kiedy,znalazłem się przy drzwiach zatło-

czonych do tego stopnia, że o wejściu do środka, to by można sobie tylko pomarzyć!

Ludzie byli rżądni sensacji! To był rok 1945. Ten okres, zupełnie śmiało by można nazwać „okresem polowań na czaro – wnice”! Być może, że i wśród tych którzy starali się dostać na „sali rozpraw” byli ci, którzy w poszukiwaniu odwetu za te krzywdy, jakich doznali od Niemców, właśnie teraz wyrokiem sądu, oczekiwali zadośćuczynienia? No tak, ale jakie krzywdy wyrządziła im moja Mamusia? Przepychając się łokciami i deptając po nogach, kogo się tylko dało, udało mi się przedostać przez tą zbitą i cuchnącą potem cizbę ludzi, by móc stanąć obok mojej Mamusi. W pewnej chwili, zadarłem głowę do góry i spojrzałem Mamusi prosto w oczy. Była bardzo zmęczona, ale starała się być spokojna. Wzięła mnie za rękę i lekko ścisnęła moje chude palce.

Po drugiej stronie długiego stołu, siedzieli jacyś ludzie i co chwile zadawali Mamusi pytania. Jedno z pytań brzmiało: „Czy oskarżona przyznaje się do tego, że podpisała Volkslistę”? W tym momencie, sala która była wypełniona po brzegi, zaległa śmiertelna cisza. Po chwili, Mamusia odpowiedziała pewnym i spokojnym głosem: „Tak podpisałam”. Oczywiście, że wszyscy obecni tu na sali, już z góry wiedzieli jaki będzie wyrok. Czekali jednak na to, by się móc upewnić i żeby móc na własne uszy z ust sędziego usłyszeć ten przez wszystkich tutaj obecnych na tej sali wyraz: „winnaaaa”!!!

Proszę mi wierzyć, że nawet po tylu latach, jest mi bardzo trudno nazwać tego ówczesnego przedstawiciela bezprawia sędzią. Ponieważ ta zaimprovizowana farsa, która miała uchodzić za akt wymierzenia przez sąd sprawiedliwości, była przecież niczym innym, jak czczą formalnością. Bowiem w tym czasie, nie prowadzono rozprawy przy współudziale ławników. Również i sędzia w czasie prowadzenia przesłuchania, nie starał się dochodzić do przyczyn, bądź też okoliczności, które by

mogły być spowowane koniecznością podpisania (*tak jak w tym przypadku*) przez Mamusie Volkslisty. Tu i teraz, do obowiązku, oskarżonej „należało udzielanie odpowiedzi na zadawane jej przez „sędziego“ pytania, które były tak sformułowane, że odpowiedź, musiała oskarżoną obciążyć!

Stąd też, człowiek prowadzący ten przewód sądowy, w pewnej chwili wstał i po bardzo krótkim uzasadnieniu wyroku, wypowiedział wreszcie, między innymi i ten wyraz, który był przez wszystkich tutaj obecnych na tej sali, tak oczekiwany: „Winna!!!

W tym momencie, wszyscy na sali z ulgą odetchnęli. Główny zarzut, stanowiło podpisanie przez Mamusie Volkslisty. Zastanówmy się przez chwilę nad tym, co w świetle prawa miało oznaczać to słowo „winna”? Prawdę mówiąc, to winna czego? Czy z perspektywy już minionego okresu czasu, mógł bym oczekiwać (*w przypadku spotkania się z tymi ludźmi*), którzy wówczas byli na tej sali, przyznania się z ich strony do popełnienia przez nich błędu? Czy ci ludzie, po tych latach, okazali by jakąś chociaż by najmniejszą skruchę? Gdybym miał możliwość spojrzeć im tak z bliska w oczy, to czy powiedzieli by mi, że się tego wstydzą, co wówczas uczynili z moją Mamusią? Jestem niezmiernie ciekawy tego, jakiej wówczas doczekał bym się odpowiedzi i jak zachowali by się ci ludzie, gdybym ich o to zapytał?

Przestańmy jednak gdybać. Sentencja wyroku brzmiała: „Winna“! W związku z powyższym, Mamusia została odesłana do Obozu Pracy Przymusowej w Głogowej, gdzie pracowała w warunkach szkodliwych dla zdrowia, przy przesypywaniu „Azototu“.

Pewne zło, które bardzo często drzemie w ludzkiej naturze, to znaczy między innymi zawiść, jak i chęć odwetu, dawało tu znać o sobie. I jak się okaże, to i w nieco późniejszych latach, mieszkańcy miasta Krośniewic, wprawdzie nie ci sami, ale tacy

sami, nie byli (jeszcze) w stanie, wyciągnąć żadnych wniosków z lekcji historii. Wszelkie ludzkie poczynania, by można niekiedy przyjmować z przymrużeniem oka i określać je mianem swojego rodzaju względności. Lecz okazuje się, że ludzka podłość niestety, ale jest zawsze bezwzględna!

W okresie Mamusi pobytu w Obozie Pracy Przymusowej, zdarzało się i tak, że Mamusia raz na dwa tygodnie, zjawiała się wieczorem po to, by się móc ze mną zobaczyć i po krótkim pobycie znów znikała w tej nocnej ciszy i w tej koszarnej nocnej plamie. Natomiast ja, z ogromnym utęsknieniem czekałem na Mamusi kolejne odwiedziny. Jak to robiła, by móc do mnie dotrzeć, tego do dzisiaj nie wiem? Zdaję sobie sprawę z tego, że nie było to ani łatwe, ani proste. Z pewnością, by móc się ze mną zobaczyć, to wymagało to z Jej strony nie małego zachodu.

Moje życie znów uległo pewnej zmianie. Od czasu oberwania „wielkiego lania”, w dalszym ciągu z obawy o pobicie, unikałem samotnego wychodzenia na ulice.

Po ostatnim rozstaniu się z Mamusią, zaraz po zapadnięciu wyroku, zamieszkałem u moich dziadków. Prawdę mówiąc, to już i z tego powodu powinienem się czuć o wiele bardziej zadowolonym z życia. Ponieważ ta zmiana, znaczyła dla mnie bardzo wiele! Nie przebywałem już w tej norze. W tej ruderze bez okien. Nie musiałem już współżyć z myszami i z szczurami. Bo ja wreszcie, ponownie zacząłem mieszkać w normalnym mieszkaniu. Nie było to mieszkanie komfortowe. Był to duży pokój, który został przegrodzony ścianą fizyczną, która była wykonana z wzorzystego materiału, na którym można było dostrzec drzewa i jelenie. Tym sposobem, ten duży pokój, został przegrodzony i dzięki temu, dziadkowie weszli w posiadanie pokoju i kuchni. W kuchni, stał przepięknej roboty kredens gdański, stół z krzesłami i kuchnia, „westfalka”. Przy kuchni, stał stolik pomocnik i na nim zacier na żur, którego zapach roznosił się wszędzie i drażnił nozdrza.

Z uwagi na moje przybycie, to przy stole dla nas wszystkich, za dużo miejsca nie było. Trzeba było więc, ten posiłek spożywać na dwie zmiany.

Dla mnie osobiscie, to najbardziej ulubionym miejscem w kuchni był ten Dziadziusia warsztacik przy oknie, przy którym mój Dziadzius wykonywał przepiękne trepy. *Tak nazywano obuwie, składające się z drewnianej podeszwy, na którą nakładano kawałek skóry i w sposób fachowy mocowano tą skórę przy pomocy gwoździ, oraz miedzianego drutu.* Te wszystkie czynności, były wykonywane w odpowiedniej kolejności. Ostatnią czynnością, było dobijanie gwoździ młotkiem!

Wówczas, gdy Dziadzius miał dobry humor, to dopuszczał mnie do swojego warsztatu i ja wtedy stawałem się jego pomocnikiem i współtwórcą tych przepięknych trepów! Były to dla mnie wyjątkowo miłe chwile, które dane mi było spędzać u moich Dziadków.

W drugiej przegrodzonej części mieszkania, znajdowała się przewspañiała szafa gdańska! Zarówno kuchenny kredens jak i ta szafa gdańska, pochodziły z okresu, kiedy moi Dziadkowie byli jeszcze zamożni. Dziadkowie Bigoszewscy, przed wojną byli właścicielami sklepu meblowego, w którym prowadzili sprzedaż przepięknych mebli. Stąd też i te meble, którymi Ma-musia do czasu wkroczenia, „wyzwolicielei“ tak się szczyciła.

Te nasze meble, to były „wiedeńskie“ i pochodziły z firmy „Tonette“. Lecz niestety, ale czasy się zmieniły. Sklep został zlikwidowany i moi Dziadkowie wraz ze swoim synem Mieczysławem, obecnie żyli ze sprzedaży trumien i trepów, które sami wykonywali. Ta szafa gdańska, zawsze mnie fascynowała i nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć, w jaki sposób ludzkie ręce mogły wykonać takie piękne meble? Nie będę w tym miejscu opisywał szczegółów tych piękności, ale proszę mi uwierzyć, że moim zdaniem, było to „meblarskie arcydzieło“! Był bym niezmiernie dumny z racji posiadania takich mebli w moim domu.

Natomiast tremo, zostało wykonane przez Bigoszewskich. To znaczy, przez Dziadziusia i przez Wujka Mietka. To tremo jako mebel, nie przypadało mi zbyt do gustu. Lecz mimo to, lubiłem się często w nim przeglądać, strojąc przy tym głupie miny. Uwagę moją przykuwały zawsze te śliczne przedmioty, które na nim stały. Wśród nich, piękne wyroby ceramiczne, takie jak: kosz do owoców, czy wazon, talerze w kształcie liści, oraz bomboniera. Te wszystkie cacka, były wykonane z fajansu, na który nakładany był drobniutki „makaronik”. Na każdym z tych wyrobów, wtopiona była róża w kolorze kremowym, która była oplatana gałązkami z pąkami róż. Wyroby te były polewane szklivem w kolorze turkusowego. Wnętrza tych wazonów były brązowe. Były to jedne z niewielu eksponatów, na które w szczególności zwracałem moją uwagę. Oprócz nich, to od czasu, do czasu, zawieszałem oko na gitarze i na bandżu. Te instrumenty były zawieszane na ścianie, lecz ja niestety, ale nie miałem prawa ich nawet dotykać.

Te dwa instrumenty, to Wujaszek Mietek otaczał szczególną troską. Potrafił on wydobywać z nich czarowne dźwięki! Zdarzało się i to nierzadko, że u Dziadków zjawiali się znajomi i znajome. a Wujek Mietek, wtedy śpiewał i na nich grał, zamieniając się w muzycznego czarodzieja.

W tym czasie, gdy u Dziadków kwaterowali rosyjscy żołnierze, gnieźdząc się na podłogach zarówno w ich mieszkaniu, jak i na korytarzu, to oni mimo swojego zmęczenia i nierzadko zrezygnowania, potrafili wyśpiewywać przy akompaniamencie Wujka gitary, lub bandża, przecudowne pieśni rosyjskiej ziemi. Śpiewali oni dumki, czastuszki i inne pieśni, prezentując tym sposobem, przebogaty folklor ruskiej ziemi. A ja, siedziałem przykucnięty w kącie kuchni i patrzyłem, jak na podłogach ci żołnierze leżeli w całkowitym bezruchu. To prawda, że byli brudni i bardzo zmęczeni. Ale niech by tylko który z nich zaintonował jakąś pieśń, to natychmiast pozostali podchwytywali ją i rozśpiewując ją na

kilka głosów, tym sposobem ozdabiali ją swymi basami, tenorami, dochodząc w rezultacie do głosów słowicznych. Ja wówczas słuchając ich śpiewu, dostawałem po całym ciele gęsiej skórki. Jest to niezaprzeczalnie, niesamowicie muzykalny naród.

Pamiętam, jak raz taki niepozorny, „Starik“, (*przy którym zawsze w pobliżu siedział młody chłopak*) zaśpiewał swoją pieśń zaczynającą się od słów: „*Ja na boczku sieżu, a pad boczkom kaczką, moją muzykę Bolszewik a ja, Hajdamaczka*“. To natychmiast inny zaczynał w te słowa: „*Tranzwał, tranzwał, strana maja, uże dawno horiła. Ei ty majaa załotaja diwoczka ty maja*“...

Tak upływały moje kolejne dni i noce. Nie wszyscy żołnierze włączali się do śpiewania i nie wszyscy z nich, prawdopodobnie czuli się w tym gronie zbyt dobrze i zbyt pewnie. W pewnym dniu, Babcia chciała się zatroszczyć takim nieco starszym, schorowanym żołnierzem. Przyniosła więc z szafy koc, aby ten „Starik“ nie leżał na gołej podłodze. Wówczas odezwał się młody „Starszina“ i Babci powiedział: „*Nie nada, nie nada. Eto Iewrej!*“ A Babcia na to: „*Żyd, czy nie Żyd, ale to przecież też człowiek*“. I koc mu i tak podała. To śpiewanie i granie, można by powiedzieć, że każdy z Bigoszewskich, to już miał w krwi. Jako, że cała rodzina Bigoszewskich przed wojną śpiewała w chórze „Lutnia“. Mój Tatuś również był członkiem tego chóru i grywał zarówno na kornecie, jak i na wiolonczeli. Mama występowała w Teatrze amatorskim i udzielała się społecznie. Wraz z innymi artystami organizowała zbiórki pieniężne dla biednych i bezdomnych. Jak się okazuje, to tak zwane „Zbiórki“ („*Spendy*“) znane były już i w tamtych, (*to znaczy, że w tych przedwojennych czasach*). Jako pamiątkę z tamtych lat, mam zdjęcie z dedykacją o następującej treści:

„Do Pani Heleny Erdmann w miejscu. Komenda Placówki Nr 2 Związku Peowiaków niniejszym składa serdeczne podziękowanie Szanownej Pani, za bezinteresowne wzięcie udziału w

w przedstawieniu amatorskim w dniu 06.01.i 19.01.1937.r.z których to dochód przeznaczony został na przedszkole prowadzone przez miejscowy Z.P.O.K. I na pomoc zimową dla bezrobotnych.Dla zapamiętania tej chwili przesyłam drugo - stronne zdjęcie“.

Tu widnieją dwie pieczętki: Komenda Placówki Związku Peowiaków w Krośniewicach pow.Kutnowskiego L.dz.6/37,oraz dwa podpisy,sekretarza i Komendanta Placówki.

Tak działo się w styczniu 1937 roku.Ja przybyłem na ten świat 23.06.1937 roku.Stąd też Mamusia,rozmawiając ze mną okazjonalnie o tych wydarzeniach,(mając przy tym na uwadze stan ciąży,w jakim wówczas była i grając swoją rolę),to mi z uśmiechem mówiła,że ja to tak właściwie to też już wtedy byłem i chyba jestem artystą.Jako,że Mamusia grając rolę w sztuce teatralnej zatytułowanej,„Hanusia Krużańska“ była już w stanie daleko zaawansowanej ciąży.Tak,że ze mną,to było tak,że ja jeszcze nie będąc na tym świecie,to już,można by powiedzieć,że byłem artystą!

Powracając do obecnej rzeczywistości,to może by należało w tym miejscu zapytać: - *I cóż pozostało z tych wdzięczności? Co pozostało z tych pięknych,okrągło wypowiedzianych(i jak się to nieco później okazało),to z tych nic nie znaczących słów? Gdzie i jakimi to drogami ta wdzięczność zdołała uciec?Gdzie podzieli się ci dobrzy ludzie,ci współtwórcy tych przewspaniałych spektakli,z którymi na tych samych deskach scenicznych występowała moja Mamusia?*

Zejdźmy jednak z tych desek scenicznych na ziemię. Rosjanie poszli dalej za,„Germańcem”na Poznań,dzięki czemu u dziadków w mieszkaniu,przybyło nieco więcej miejsca.Ma – musia w dalszym ciągu przebywała w Obozie Pracy Przymusowej w Głogowej,a ja w dalszym ciągu sypiałem wspólnie z moim wujkiem w jednym łóżku w sposób „specjalny“.To znaczy w nogach.

To było tak, że Wujek spał zupełnie normalnie, natomiast ja, miałem głowę tutaj, gdzie mojemu kochanemu Wujaszкови kończyły się nogi. Powiem zupełnie uczciwie, że to spanie, nie przypadało mi zbytnio do gustu. Od pewnego czasu, zacząłem się zastanawiać nad tym w jaki sposób i co tu powinienem wykombinować, bym nie musiał wachać tych Wujaszkowych nóg? Podobno to jest prawdą, że nad każdym z nas czuwa opatrność. Okazało się, że pewnej nocy, również i do mnie ta opatrność dotarła!

Stało się to tak, że pewnego wieczoru, wszyscy domownicy ułożyli się już na spoczynek. Również i ja z moim Wujaszkiem zdołaliśmy się już w tym naszym wspólnym łóżku odpowiednio poukładać. Chyba każdy z nas o tym wie, że ten spokojny i zasłużony sen, dla każdego z nas, staje się jak gdyby dobrodziejstwem w czasie trwania naszego długiego jestestwa. Bowiem w czasie snu, czasem z nami dzieją się rzeczy przedziwne!

Nędzarz staje się królem, koń zamienia się w ptaka. Mała rybka, zamienia się w wieloryba. Jednym słowem, w czasie snu, wszystko staje się możliwe!

Musieliśmy już wszyscy „zdrowo” spać, gdy nagle, w czasie trwania tej śmiertelnie panującej ciszy, dał się słyszeć przeraźliwy krzyk, który musiał pochodzić od osoby, która wrzeszczała tak straszliwie, jak by ją ktoś żywcem obdzierał ze skóry! Z tą chwilą, wszyscy, jak jeden mąż, zerwaliśmy się w jednym okamgnieniu na równe nogi (*co prawda, to ze mną i z Wujaszkiem nie poszło tak gładko, jako, że nasze nogi były strasznie popłątane*). Jednak w momencie, kiedy wszyscy staliśmy bosymi nogami na podłodze, a Dziadzius zapalił światło, wówczas usłyszeliśmy głos mojego Wujaszka Mietka, który nie krzyczał, ale na cały głos wrzeszczał: „Tego już za wiele. Mnie się też coś od życia należy! Żebym ja się nie mógł spokojnie wyspać i to w moim własnym domu”? Tak i to na cały głos, mój Wujaszek Mietek wykrzykiwał.

W pewnej chwili, Babcia najspokojniej w świecie wujka zapytała: „Powiedz no Mieniu dlaczego ty tak strasznie krzyczałeś i jeszcze w dalszym ciągu krzyczysz ? Czy ci się coś złego śniło? Czy cię jakieś zło nawiedziło? Czy cię mary oblażyły”? Na co Wujek: „Nic mi się nie śniło! I nic mnie nie oblażyło, ale jak by tak Mame (*czyli moją Babcie*) ktoś tak kopnął (*i w tym momencie Wujek wskazał na to miejsce, z którego rozchodzą się dwie nogi*), to jestem pewien, że i Mama też by tak, a może i jeszcze głośniej ode mnie krzyczała“?

Tej nocy, ze strony Wujka, było jeszcze dużo marudzenia. Babcia, pragnąc Wujka ułagodzić, to przygotowała mu nawe (*czy to było potrzebne w tym momencie, czy też nie*), jego ulubioną sodkę, którą bardzo lubił sobie okazjonalnie przyrządzać „na zoładek“. Ta sodka, stosowana była przy każdej niemal okazji. Ona była „lekiem na wszystko“. W składzie tej „miksturki“ znajdowała się soda oczyszczana, woda i oczywiście ocet. Ja nazywałem to poprostu skrótowo „szy“. A to z tego powodu, że z chwilą, gdy te wszystkie składniki znalazły się w szklance (*i to z octem włącznie*), to należało jeszcze tylko tą miksturkę zamieszać łyżeczką, i z tą chwilą, podczas łączenia się tych składników, nie słyszało się nic innego, jak tylko: „szszszszyyyy“! Na drugi dzień, nikt o niczym innym nie rozmawiał, jak tylko o tej strasznej nocy. Babcia okazywała szczególne współczucie Mieniowi, a Dziadzius, to od czasu do czasu puszczał do mnie takie przymróżone (*perskie*) oko. Natomiast ja, nie wiedziałem co mam ze sobą począć?

Zdawałem sobie już po części sprawę z tego, że znów znalazłem się w fatalnej sytuacji. Lecz nie wiedziałem co z tym fantem mam zrobić i co gorsze, to to, że nie wiedziałem co mnie czeka? Przy obiedzie, znów został podniesiony ten paskudny temat i ponownie wałkowano o tej nieszczęsnej nocy. Lecz w pewnej chwili, odezwał się mój kochany Dziadzius i rzekł: „Na miłość Boską, czy my nie możemy Januszkowi sklecić jakiejś

wąskiej pryczy, którą by można koło szafy ustawiać co wieczór na dwóch krzesłach? I na niej by się mógł wreszcie chłopak swobodnie przespać”? I rzeczywiście, jak przystało na dwóch starych, doświadczonych i jeszcze do tego dyplomowanych stolarskich rzemieślników, to to łoże, na którym miałbym sobie swobodnie i wygodnie sypiać, okazało się, że po jego skleceniu, było niczym innym, jak tylko bardzo wąziutką pryczą! Podkreślam w tym miejscu wąziutką, ponieważ w czasie moich pierwszych nocy, udało mi się dwa razy z niej spaść! Jednak po nabraniu wprawy i wiedząc już z jakimi figurami należy się podczas snu na niej obracać, aby z niej nie spaść, to po pewnym czasie, przyzwyczajam się do tego spania, traktując tą pryczę, tak jak królewskie łoże! Wujek Mietek, tak jak przystało na prawdziwego mężczyznę, nie czuł do mnie pretensji za tą nocną kontuzję, kontuzję, której przecież byłem (*to prawda, że niechcącym*), ale jednak sprawcą.

I znów mijały dni i tygodnie. Moim placem zabaw było teraz już tylko podwórko znajdujące się z tyłu za domem i sąsiadujące z tą wstrętną rudera, w której jeszcze nie tak dawno mieszkałem.

W tym okresie czasu, docierał do mnie jedyny mój jedyny pradziwy kolega, który miał na imię Włodek. Bawiliśmy się w saperów. Wyjmowaliśmy z kul armatnich takie długie zielone makarony i je podpalaliśmy i przyciskaliśmy je butem. Po chwili jak się nogę podniosło, to ten makaron latał w powietrzu i przy tym syczał i straszliwie smrodził! Był to oczywiście proch. Wielu innych, takich jak i my, „saperów“ przy tego rodzaju operacjach pozbywało się rąk, lub nóg, a bywało i tak, że rozstawało się z życiem.

Żałowałem wciąż tego, że nie mogę wejść do środka czołgu, który stał w niedalekiej odległości, zaraz za kończącym się murem, który okalał byłą posiadłość Hrabiny Rembielińskiej. Było to zbyt daleko i wiedziałem, że gdybym się zapuścił w tamtą

stronę, to by mnie chłopaki dorwali i pobili. Ten czołg, był pomalowany na biało i stał w stawie.

Z nastaniem wiosny, Straż Pożarna organizowała w parku Hrabiny Rembielińskiej Wielką Loterię Fantową. Członkowie Straży Pożarnej chodzili po domach i zbierali fanty. Wujek Mietek był jednym z jej organizatorów. W straży to Wujek był kierowcą. Czasem Wujek zabierał mnie ze sobą do parku, abym się (*jak mówił*) nieco przewietrzył. Do Wielkiej Loterii Fantowej, pozostały jeszcze tylko trzy dni. Zarówno organizatorzy, jak i większość mieszkańców miasta, przebywała już w parku na codzien, nie mogąc się doczekać tego wielkiego wydarzenia. W czasie naszego pobytu w parku, Wujek prowadził z jakimś znajomym ożywioną rozmowę? Natomiast ja, stałem za drzewem i z wielkim uchem, przysłuchiwałem się o czym oni rozmawiają? Okazało się, że ten temat jest mi już nieco znany, ponieważ Wujek omawiał już tą sprawę w domu. Dotyczyła ona psa, którego udało się Wujaszкови otrzymać na loterię. Cały dowcip polegał na tym, że to był zwykły kundel. Lecz ofiarodawca tego psa, w sposób niezmienny Wujka zapewniał, że: „To jest rasowy pies”. „I, że to jest niezwykle pies i co ważne, że to jest Ślamka pies. I, że on jest piepszony z wilkiem i z bernardynem”. A to, że on tak wygląda, jak wygląda, to wcale o tym nie świadczy, że on nie jest rasowy. Przyjdzie czas i na jego wygląd“. Z tego by miało wynikać, że ten pies miał przebogaty rodowód i można by z całą powagą i szczerością stwierdzić, że ten kundel, to wcale, a wcale, nie zasługiwał na taki wygląd, jaki dotychczas posiadał. Lecz cóż, wyglądu psa nie da się tak łatwo zmienić! Można by go jedynie przefarbować. Ale ani wilka, ani bernardyna to z pewnością zrobić się z niego już nie da!

Wiosna dosyć szybko przemieniała się w lato. Chłopcy w głównej alei spacerowej siedzieli pod drzewami i grali w kamyczki, lub starając się wbijać scyzoryk w ziemię, grali w tak zwane, „pikuty“ .

Ludzie spacerowali aleją, a dzieci trzymając się za ręce swoich rodziców, zaczynały stawiać swoje pierwsze kroki. Tylko ja, jak jakiś dzikus, umykałem poboczami, tak żeby mnie nikt nie dojrzał. Tak właściwie, to kogo i czego i z jakiego powodu, ja nieustannie musiałem się bać? Czy to tak miało być ze mną już zawsze? I czy to się już nigdy nie skończy?

Pewnego wieczoru, otworzyły się drzwi mieszkania, i w nich ukazała się moja Mamusia. Gdy na nią spojrzałem, to wydawała mi się zupełnie inna niż zawsze. Jeszcze nie potrafiłem sobie udzielić na to odpowiedzi, czemu należało by przypisać tą jej inność? Mamusia tym razem, miała zupełnie inny wyraz twarzy. Uśmiechając się smutno, przywitała się z każdym z nas i siając na wolnym krześle, zaraz na wstępie powiedziała, że postanawia zmienić ten swój dotychczasowy los, to znaczy ten trwający koszmar, który doprowadza ją do krańcowego wyczerpania oraz do krańcowej wytrzymałości i, że to wreszcie musi się skończyć!

Mamusia w tym czasie, kiedy przebywała w Obozie Pracy Przymusowej, to poprzez swojego adwokata, czyniła starania o uzyskanie rehabilitacji. Lecz niestety, ale z informacji, którą on Mamusi przekazywał, to Mamusia niezmiennie, słyszała : „*Pani Heleno, niestety, ale i tym razem sąd odrzucił Pani prośbę, dotyczącą Pani rehabilitacji*”. Inaczej mówiąc, to Mamusia otrzymywała z Sądu nieustannie tylko same odmowy.

Tak było i tym razem. - „Znów otrzymałam odmowę”, powiedziała to bardzo znegbionym i załamany głosem. „*Dalej tak nie potrafię żyć!*” Natomiast jeśli chodzi o Mamusi adwokata, to on jej zdarzeniem nie przykładał się zbytnio do tego, aby Mamusia otrzymała tą przez nią tak upragnioną i jej zdaniem należną jej rehabilitację. On ciągnął sprawę i jak to Mamusia wyraziła swoimi dosadnymi słowami, to: „*On doił pieniądze ze mnie do ostatka*”. To by miało znaczyć, że on od Mamusi wyłudzał zarówno kosztowne rzeczy, jak i pieniądze, które jesz-

cze posiadała z tak zwanych „starych czasów“.W takim klimacie wewnętrznych sprzeczności,Mamusia będąc pod wrażeniem tej ostatniej odmowy,postanowiła poprostu,gdzieś uciec!Tym bardziej,że już od dosyć długiego czasu,do Krośniewic zaczynały docierać,(wprawdzie w jeszcze bardzo mgliście przedstawianych obrazach) informacje o tym jeszcze dotychczas nikomu bliżej nie znanym „Dzikim Zachodzie“.

Najprawdopodobniej Mamusia musiała już gdzieś wcześniej zasłyszeć o tym jakimś„Eldorado“,do którego i ona zapragnęła dotrzeć?Właśnie tam,zaczęła upatrywać miejsca swojego przyszłego schronienia,licząc na to,że właśnie tam znajdzie dla siebie ten od tak dawna oczekiwany i upragniony spokój.Narada rodzinna trwała do późna w noc.Ustalono,że jeszcze tej nocy, Mamusia opuści swoje rodzinne miasto,swoją rodzinę i mnie, udając się w nieznaną!W chustce na głowie,w ciemnych okularach odpowiednio ucharakteryzowana,z małą walizeczką w ręce,przy pomocy Wujka Mietka,Mamusia dostała się na stację Kolei szerokotorowej,skąd już tylko sobie wiadomym sposobem dotarła na „Dziki Zachód“.

To znaczy,że zdołała dotrzeć do tego„Eldorado“,którym jak się wkrótce okazało,stało się dla niej małe osiedle,które przez pewien czas nazywane było jako„Łokietek“,którego nazwa,po upływie pewnego czasu,została przemianowana na Walim.

Po wyjeździe Mamusi na Zachód,moje życie po raz kolejny uległo radykalnej zmianie!Bowiem w wyniku decyzji moich dziadków,zostałem przekazany do moich kolejnych krewnych, to znaczy,do rodziny Stępników.A mówiąc dokładniej,to do Cioteczki Marysi ,(która była„rodzoną siostrą” mojej Mamusi. Cioteczka,mieszkała wraz ze swoim mężem Zgmuntem Stępnikiem,którzy zaraz po wojnie przenieśli się na tak zwane „Place“,zamieszkując w domu Pani Tarasiewiczowej.Była to dla nich swojego rodzaju nobilitacja.Pani Tarasiewiczowa,była już starszą Panią,wywodzącą się z tak zwanej„dobrej rodzi-

ny, która będąc wdową, żyła samotnie. Dostyc często, odwiedzał ją jej bliski krewny Pan Witek, który był mężczyzną bardzo niskiego wzrostu, z bardzo pokaźnie wysuniętą do przodu klatką piersiową. Jednym słowem, (jak by to co niektórzy wówczas o nim powiedzieli), był to człowiek pokrzywdzony przez los. Dom był przepiękny i piętrowy. Na parterze, mieszkała Pani Tarasiewiczowa z tym krewnym, a na górze, zamieszkali Stępniahowie.

Ta rodzinka, składała się z pięciu osób. W tym Cioteczka Marysia, Wujek Zygmunt, córki Haneczka i Dziunia, oraz ich syneczek Zygmus, (który był o jeden rok starszy ode mnie). Do tego grona, dołączyłem teraz i ja! W pobliżu domu był wspaniały ogród, a w nim, rosły dorodne i kuszące czereśnie. Chyba tego nie zapomnę, jak pewnego dnia, wdrapałem się na to drzewo, które było oblepione tymi kuszącymi i uśmiechającymi się jak gdyby do mnie czereśniami. Z zachłanności i jednocześnie w obawie, że może mnie ktoś za chwilę zawołać, postanowiłem te czereśnie spożywać wraz z pestkami! Wieczorem, dostałem wysokiej gorączki i Cioteczka zmuszona była wzywać lekarza. Oczywiście, że nie obeszło się przy tym od udzielania mi kolejnych i tych tak dobrze już znanych, bardzo kąśliwych uwag.

Dni, a za nimi i tygodnie, były prawie, że podobne do siebie tak, jak dwie krople wody. Codziennie, w towarzystwie mojego ciotecznego brata Zygmusia, szedłem do szkoły. Po powrocie, jadłem jakiś tam obiad i po obiedzie, wypuszczano mnie na dwór do pasenia kóz. Zygmus ich nie pasł, bo jemu wyznaczono zupełnie coś innego. On musiał się uczyć, by mógł wyrosnąć na mądrego i porządnego człowieka, od chociażby takiego jakim był Pan inżynier Witek, który jak się niebawem okazało, to znał Dziunię jak jeszcze była malutka i w pieluszkach. I on ją już wówczas na rękach nosił....

A teraz, kiedy Dziunia już przestała być „podlotkiem” i stała się panną do wzięcia, to Pan Witek, który jak należało by przypuszczać, również pochodził z „dobrego domu” i który na

dodatek był przy tym inżynierem, to tak prawdę mówiąc, on (w pojęciu i w przekonaniu szczególnie *Cioteczki*), stanowił prze-wspaniałą partię dla jej córeczki Dziuni. A ona, (o czym nikt te-go nie mógł wiedzieć), chorowała na astmę!

Pamiętam jak pewnej nocy, cały dom został postawiony na równe nogi, bo okazało się, że Dziunia zaczęła się dusić! Wezwano lekarza, a Cioteczka powiedziała nam, że byśmy się czasem przed panem Witkiem nie wygadali, że Dziunia w nocy była taka strasznie chora. Jak rozmawiałem z moim ciotecznym bratem Zygmuśkiem o tym jej ataku, to on mi powiedział, że to co dzisiaj w nocy z Dziunią było, to jeszcze nic. „Raz“, tak mówił, „jak jeszcze tutaj nie mieszkaliśmy, to Dziunia miała taki mocny atak, że aż się niebo otwierało!“ Obecnie, to można by to jego opowiadanie nazwać po prostu, „laniem wody“. Ale wówczas to ja, te jego opowiadanie przyjmowałem jako prawdę.

Na szczęście, Pan Witek się o tym zdarzeniu nie dowiedział i w dalszym ciągu (*jak to Wujek Zygmunt czasem mówi*), to „do naszej Dziuni smolił cholewki“. Natomiast z siostrą Dziuni Hanią, to była już inna „para kaloszy“ (*też powiedzenie Wujka Zygmunta*). Hania była nieco starszą wiekiem od Dziuni i już o tak zwanych, „pewnych babskich sprawach“ miała swoje własne zdanie. Pamiętać przy tym trzeba, że był to czas, kiedy słyszało się o rozbojach, których to podobno dopuszczali się żołnierze Armii Krajowej (AK).

Do naszej Hani, późnym wieczorkiem, przychodził sobie taki niepozorny, i jak się później okazało to, „chłopak z lasu“, (*tak nazywano tych z AK*). Był bardzo miły i zawsze czuć go było dymem. Pamiętam, jak raz przeciąłem sobie nogę dnem od butelki. Krew tryskała na wszystkie strony! Ja wrzeszczałem i z bólu i ze strachu. Właśnie wówczas, dotarł znów do naszej Hanczki ten Zbyszek AK-owiec i wtedy mi powiedział, że jeśli jestem mężczyzną, to mam nie płakać. Jak nie będę płakał, to będzie znaczyło, że jestem dzielny.

I wówczas on, bandażując mi moją nogę, pocieszał mnie tak jak tylko mógł. A mnie, to się tak podobało, że ktoś koło mnie chodzi i o mnie dba.

Na drugi dzień, gruchnęła po mieście wiadomość, że chłopcy z lasu zabrali z posterunku milicji paru milicjantów, którzy byli najbardziej „oddani” władzy ludowej i z pod Kutna puścili ich na bosą i bez ubrań do domu. Przez bardzo długi czas, to o niczym innym tu nie mówiono, jak właśnie o tym zdarzeniu.

U Stępników główny „ster rządów” miała w swoim ręku Ciocia Marysia - „Cioteczka”. To było tak, że głową domu był Wujek Zygmunt, ale szyją, która kręciła tą głową, była Cioteczka. I tak jak Cioteczka chciała, tak też ta Wujka głowa się kręciła! Stąd też, nierzadko bywało tak, że Wujek tego jej kręcenia jego własną głową miał powyżej uszu! Być może, że z tego właśnie powodu czuł potrzebę, aby „za to wszystko” móc sobie odbić na kimś to swoje poddaństwo i tym samym, udowodnić, że on to też coś w tym domu znaczy! Kiedy wracał z pracy do domu, to my wszyscy, to znaczy: Hania, Dziunia, Zygmunt i ja, musieliśmy prawie, że na baczną czekać i witać powracającego z pracy kochanego Wujaszka. W tym czasie, ani oko nie miało prawa drgnąć, a o spoufalającym uśmiechu, nie mogło być mowy! Dopiero z tą chwilą, kiedy Wujek przywitał się z kochaną Cioteczką, to całe napięcie malało i od tego czasu, już można było być „normalnym”. Wujek w naszym gronie pragnął uchodzić za człowieka, który zasługuje na poważanie i szacunek.

Nie zapominajmy przy tym, że moi dwaj Wujkowie, to znaczy Wujek Zygmunt, jak i Wujek Mietek byli członkami Ochotniczej Straży Pożarnej. Powiem więcej, bo tak w rodzinie Bigoszewskich, jak i w rodzinie Stępników, za punkt honoru uważano, by być strażakiem. Mój Tatuś również, był strażakiem. Był komendantem Kolejowej Straży Pożarnej. Mój brat cioteczny Zygmunt, to miał uszyty cały nowy, piękny strażacki mundur. Miał również piękny złoty kask strażacki, w którym paradował

na okazjonalnych defiladach. Ten kask strażacki, to Zygmunt otrzymał od swojego tatusia, który przy nadażających się okazjach, wypinając przy tym dumnie swoją pierś, zwykł mówić: „Taki jeszcze mały a już strażak“.

A ja w tym czasie, chodziłem w takich bucikach, które miały obcięte czubki i jak to Cioteczka mówiła, że „one są po to tak obcięte, żeby palce dostały więcej świeżego powietrza“. Poza tym, to nosiłem portki podziurawione i okryty byłem taką jakąś byle jaką koszuliną. „Przecież dziecku, to wszystko ujdzie“! Takie powiedzenia miała ta moja „kochana“ Cioteczka. Pewnego razu, po powrocie Wujaszka z pracy, (którego jak zwykle witaliśmy w pełnej powadze), to on tym razem, jak nigdy dotąd, miał bardzo poważną minę i był jakiś taki wyniosły? Podeszedł do Cioci i całując ją na powitanie powiedział: „Jadę na Zachód“.

Jezus Maria! Co się też od tej chwili w tym domu zaczęło dziać! Ciocia to nagle, zaczęła odchodzić od zmysłów! Hania i Dziunia, nagle potraciły głowy! Tylko Zygmunt potrafił zachować „zimną krew“. Ciocia nie chciała słyszeć o żadnym wyjeździe! A co dopiero o wyjeździe na Zachód! Ale jak Wujek na spokojnie zaczął roztrząsać tą sprawę i kiedy nadmienił o możliwości przywiezienia z Zachodu majątku, a tym samym, szybkiego wzbogacenia się, to Cioteczka słysząc te słowa, to z każdą chwilą zaczynała coraz szybciej do siebie dochodzić i po krótkiej chwili zapytała: „Zygmunt, no to kiedy wyjeżdżasz“? Wujek nie zwlekając zbyt długo z odpowiedzią i znając przecież jej tak zmienne humory, bez chwili wachania odpowiedział w sposób krótki i zwięzły: „Dzisiaj“! „No to w takim razie, musimy się pośpieszyć, żebym ci mogła coś przygotować na drogę“. I Ciocia to mówiąc, szybkim krokiem ruszyła w kierunku kuchni, przywołując do siebie zarówno Hanie jak i Dziunie. W tym czasie Wujek Zygmunt, szybko dopadł do szafy, by z niej wyciągnąć dwie wielkie walizy.

Po umyciu się i ubraniu, *(ażeby być na Zachodzie podobnym do ludzi)*, dotarł do kuchni, gdzie trzy gosposie uwijały się już tak, jak by były w ukropie! Ciocia nalewała herbatę do termosy. Hania zawijała w papier kanapki. A Dziunia wkładała te już pozawijane kanapki do teczki.

Wujek w tym czasie, zaczął przyjmować żołnierską pozę i kiwając się na swych nogach raz do przodu, to znów do tyłu, od czasu do czasu pytał z pewnym zniecierpliwieniem: „Marychna, a jak długo będzie to wszystko trwało”? Po czym, najspokojniej w świecie, opuszczał kuchnię, nie dając Cioteczce możliwości, aby mogła mu cokolwiek na jego pytanie odpowiedzieć.

Można by powiedzieć, że z tą chwilą, kiedy Wujkowi zaświtała w głowie myśl o wyjeździe na Zachód, to on wreszcie zaczął się czuć panem swojej sytuacji! On wiedział czego chce! Już swoją wyobraźnią szybował po zamkowych komnatach i po domach, które zostały opuszczone przez Niemców. Już widział pozostawione przez nich wszelkiego rodzaju bogactwa, a wśród nich wykonana ze złota, platyny i po części ze srebra piękną biżuterię! Już widział siebie człowiekiem, który opływa w ogromnym bogactwie! Może jak szczęście dopisze, *(tak sobie myślał)*, to przywiezie coś jeszcze cenniejszego? I tak pogrążony w swoich myślach i marzeniach i nieświadomy tego co w tej chwili robi, zaczął przyjmować odpowiednio do swoich majaczeń przeróżne pozy. A to się kłaniał od niechcienia, podnosząc niedbale prawą rękę, to znów wykonując niski ukłon, wpatrywał się w jakiś niewidoczny punkt, wytrzeszczając przy tym oczy. To znów z wyprostowanym jak struna tułowiem spacerował w koło stołu, pomrukując coś niezrozumiałego pod nosem?

Lecz ten błogi nastrój, w pewnej chwili, w sposób brutalny przerwała mu jego kochana Marychna!, „A co, tobie gorzej”? - zapytała? Wujek, w jednej chwili zrozumiał, że natychmiast musi z obłoków wrócić na ziemię. „Nic, nic Marychna, już jest wszystko w najlepszym porządku”, pluł Wujaszek, jak piąte

przez dziesiąte. „Ja tylko tak, no wiesz, bo czekam kiedy wy to wszystko wreszcie skończycie”. „No jeżeli mówisz, że z tobą jest wszystko w najlepszym porządku, to i dobrze. Więc zabieraj to co uważasz za niezbędne i ruszaj z Bogiem! Ale jeszcze powiedz no mi mój kochany, jak też ty tam długo masz zamiar na tym Zachodzie przebywać”? „No sama wiesz Marychna, że to trudno tak od razu przewidzieć. Ale ja uważam, że jak wszystko pojdzie tak jak trzeba, to gdzieś tak za tydzień, to powinienem się już tutaj z tym wszystkim pojawić”. „Tydzień powiadasz? Trochę to długo, ale cóż moje dzieciaczki”? I to mówiąc, Cioteczka zwróciła się do swoich pociech i w sposób filuterny, świecącymi się ze szczęścia oczkami, zaszczębiotała: „Dzieciaczki, chyba przez ten czas damy sobie sami radę co”? „No pewnie Mamusiu, że sobie sami damy radę”! Zgodnym chórem dzieci odpowiedziały. „No widzisz Zygmus, że teraz, to już możesz sobie spokojnie jechać. I pamiętaj, przywieź tego wszystkiego na tyle, żebyśmy już do końca życia ani ty, ani ja, nie musieli ciężko pracować. A myśl nie tylko o nas, ale i o przyszłości naszych dzieci”. Z tego ostatniego zdania Ciocia była chyba bardzo dumna, bo po tych słowach, przeleciała oczyma po twarzyczkach swoich pociech i kręcąc lekko głową, pogłaskała się w okolicy serca. Wujek pożegnał się czule ze wszystkimi i ze mną na końcu również i zniknął z dwiema walizkami, w których ukrył jeszcze worki i plecak i szybko jak tylko mógł, oddalał się od swojego domu. Po wyjeździe Wujka na Zachód, nie wiele się w naszym rozkładzie dnia zmieniło. Można by powiedzieć, że dzięki temu, że Wujek wyjechał, to wszyscy mieliśmy nieco więcej swobody. Nie było tego wojskowego drylu i stawania na baczność! Hania, teraz o wiele częściej się widywała ze swoim Zbyszkiem, który od tego czasu, już zaczął wstępować do domu. Ciocia czulej i gościnniej zaczęła go traktować. Natomiast Pan Witek, niby to zupełnie przypadkiem, zachodził na piętro i nieustannie pytał o Pana Zygmunta?

Lecz Cioteczka,starając się trzymać„ręke na pulsie”,nie odpowiadała na jego natarczywe pytania i zaraz pytała o zdrowie zacnej Pani Tarasiewiczowej?

I tak mijał znów dzień za dniem.Od Mamusi,po jej ucieczce na Zachód,jeszcze nie otrzymałem żadnego listu.Zdarzało mi się czasem,że po szkole wpadałem do moich Dziadków,którzy jak zwykle,jedno przed drugim po kryjomu,dawali mi po 50 groszy na bułki.Dobrzy kochani Dziadkowie.Sami za wiele nie mieli,ale zawsze starali mi się coś dać.Po powrocie ze szkoły i po zjedzeniu zupki,jak zwykle Cioteczka mnie wysyłała do „moich kóz”,żeby one nikomu nie wyrządziły szkody.Chociaż tutaj mogłem sobie w spokoju pomyśleć o mojej Mamusi.Co ona teraz w tym wielkim świecie robi i gdzie jest?Dlaczego nie daje o sobie żadnego znaku życia?Może się boi pisać,żeby ci niedobrzy ludzie nie natrafili na jej ślad? Czy Mamusia jeszcze o mnie myśli?Czy nie zapomniała,że ja tu jestem i tak strasznie za nią tęsknię?

Od czasu wyjazdu Wujka na Zachód,minęły cztery dni,które przez Cioteczkę były codziennie bardzo starannie odliczane.Cioteczka to chyba tak na wszelki wypadek,zaczynała się już niepokoić.Coraz częściej było widać,że jest i to bez powodu „czymś”podniecona i zdenerwowana.W stosunku do innych osób,to była zawsze bardzo bezpośrednia.Gdy coś mówiła,to lubiła wszystko zdrabniać zupełnie podobnie jak to czynił Mikołaj Rej.Na mnie,mówiła Janeczek.Na swojego syna - Zygmus.Na córkę Danutę -Dziunia.Na Hanie -Haneczka.Jednak te jej słociutkie zwroty,nie odzwierciedlały tego jej prawdziwego wnętrza.Cioteczka była typową holeryczką!Stąd też,jak coś nie poszło po jej myśli,to biada temu,który by śmiał stanąć na jej drodze !

Zbliżał się piątek,a do ustalonego dnia Wujka powrotu,pozostał tylko jeden dzień.I w tym właśnie dniu,listonosz przyniósł list,który jak się okazało,to był od Mamusi!

Skakałem z radości, nie znając jeszcze jego treści. Ciocia go otworzyła i zaczęła go czytać. W tym liście, Mamusia w sposób drobiazgowy opisywała swoją podróż, oraz sposób dotarcia do Łokietka. Opisywała przy tym, „przepiękne widoki, góry, skały i to wszystko to, co na owe czasy dla mnie było takie tajemnicze, że nie powiem sensacyjne!

Bo przecież my tutaj, to gdzie okiem nie sięgniesz, to mamy same równiny. Pisała również i o tym, że zamieszkała w ładnym dwu rodzinnym domku przy ulicy Różanej. Ludzie są tu bardzo dobrzy. Tak trochę dziwnie mówią, to znaczy, że tak jakoś jak by śpiewnie. Mówią, że są z za Buga. Pisała również, że podjęła pracę i że pracuje w Zakładach Lniarskich i szyje coś ze spadochronów. Do pracy ma nie daleko. I że strasznie za mną tęskni i że zrobi wszystko co tylko możliwe, by mnie miała jak najszybciej przy sobie.

Tego właśnie mi do szczęścia brakowało! Tych ostatnich słów. To właśnie pragnąłem usłyszeć i usłyszałem! W jednej chwili poczułem się inaczej. Uświadomiłem sobie to, że mam Mamusię na Zachodzie, która mnie zabierze tam do siebie. I ludzie są tam dobrzy. I że nie będę musiał przed nikim już więcej uciekać, ani się kryć, ani wypasać kóz. Po przeczytaniu przez Cioteczkę tego listu, chciałem się gdzieś podziąć i gdzieś uciec samemu nie wiedząc gdzie?

Teraz, to bym chciał za wszelką cenę być przy Mamusi. Lecz cóż, kiedy rzeczywistość potrafi uzmysłwić każdemu jego nie-realne poczynania i chęci. W zakończeniu listu, Mamusia wspominała o tym, że w najbliższym czasie wyśle paczkę, w której będą rzeczy dla mnie. Na zakończenie, Mamusia prosiła Cioteczkę, aby się w dalszym ciągu mną tak opiekowała, jak by była moją własną matką. W głowie mi huczało z wrażenia tak jak w ulu! Przez następne godziny, zachowywałem się tak jak „kołowaty“, powtarzając w kółko: „Mamusia do mnie napisała! Mamusia do mnie napisała“!

Zdawałem sobie sprawę z tego, że teraz i że właśnie teraz Mamusia o mnie nie pamięta! Nie pyając Ciocie o pozwolenie i nie chcąc już pamiętać o jakichkolwiek niebezpieczeństwach, które po drodze do Dziadków by mogły na mnie czyhać, pędziłem do nich z zamkniętymi oczyma, pragnąc im i to jak najprędzej przekazać tą wspaniałą wiadomość!

Wpadłem do kuchni jak bomba i jednym tchem i ile mi sił w moich wątych piersiach starczyło wykrzyknąłem: „Mamusia”! A Babcia na to: „Jezus Maria, co się stało”? A ja znów: „Mamusia”! „Co na miłość Boską? No powiedz że wreszcie Janek, co Mamusia”? Babcia z trwogą w głosie zapytała. A ja wreszcie wybąkałem: „Mamusia do mnie napisała i powiedziała, że zabierze mnie do siebie”. Teraz, już spokojnie zacząłem z Babcią rozmawiać. A Babcia na to: -, „Czekaj no czekaj, że Janek, jak ty masz o Mamusi takie wiadomości, to trzeba tu i Dziadka i Miennia zawołać. Skocz no do warsztatu na jednej nodze i ściagnii mi ich tutaj i to obydwóch zaraz.”. Tego nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Ja teraz wiedziałem, że się zaczynają dziać bardzo ważne rzeczy, które dotyczą zarówno mnie, jak i moją Mamusię. Podobnie jak do Babci, tak i tu do warsztatu wpadłem niczym bomba i jednym tchem powiedziałem, że Mamusia napisała list i że Babcia mówi że macie zaraz przyjść do domu. Jak tylko Dziadziuś i Wujek to usłyszeli, to natychmiast przerwali robotę przy takim „meblu”, który jako ostatni na tym świecie jest potrzebny takiemu człowiekowi, który udaje się do „krajny szczęścia i wieczności”.

Dziadziuś w chwilach dla siebie przyjemnych, lubił od czasu do czasu się pogłaskać po swojej krótko ostrzyżonej głowie. Natomiast Wujek Mietek, z chwilą, gdy usłyszał, że Mamusia napisała list, to natychmiast zaczął pociągać nosem, co miało znaczyć, że się z tej wiadomości bardzo cieszy. Obydwaj, jak szybko tylko mogli, udali się za mną do Babci. Teraz, zaczęły padać pytania. A ja, paplałem co mi tylko na język przychodziło.

Mówiłem im o górach, o chmurach co to tak nisko nad górami przelatuja, o skałach, o domku, w którym Mamusia zamieszkała i o różach, które są przy każdym domu i ,że chyba dlatego ta ulica nazywa się różana i wreszcie, już dłużej nie mogąc się powstrzymać, rozplakałem się krzycząc na cały głos, że ja chcę do mojej kochanej Mamusi!!!

Dziadkowie i Wujaszek uspokajali mnie jak tylko mogli i po pewnym czasie, zapytali mnie czy Stępniaćkowie wiedzą o tym, że ja tutaj jestem?, Wiedzą, czy nie wiedzą, a czy to teraz jest takie ważne”, ich zapytałem? Czy to jest ważne, że kozy się teraz same pasą? Czy to jest dla mnie ważne, że teraz te wstrętne kozy mogą komuś wyrządzić szkodę? Czy to jest w tej chwili ważne, że ja za to znów mogę oberwać lanie? To wszystko dla mnie teraz przestało już być ważne”, oznajmiłem im na koniec.

Dla mnie, od teraz, to jest najważniejsze to, że ja od mojej Mamusi dostałem list i to, że Mamusia mnie zabierze od Stępniaćków do siebie i to tak szybko, jak tylko to będzie możliwe! Moi Dziadkowie, widywali mnie już w różnych sytuacjach i znali mnie jak to się mówi, „od potrzebki“. Lecz takim, to mnie jeszcze nie widzieli. Spoglądali w sposób znaczący na siebie i po pewnym czasie, mimo ich uśilnych starań, to również i z ich oczu puściły się łzy. Dziadzius, przytulił mnie bardzo czule do siebie i mówił cicho: „Nie płacz synku“.

Późnym wieczorem, wróciłem do domu, gdzie powitała mnie Cioteczka tymi słowy: „Janeczku, ty myślisz, że jak twoja Mamusia napisała do ciebie list, to już możesz sobie robić co ci się rzywnie podoba? Otóż nie moj kochany! Wiedz o tym, że jak tylko Wujek szczęśliwie wróci z Zachodu, to ja mu wszystko dokładnie opowiem, a on jak wiesz, to potrafi ciebie przywołać do porządku“. W tym czasie kiedy Cioteczka mi to wszystko mówiła, to Zygmus, to znaczy, ten mój cioteczny braciszek stał z wydetą wargą i dumnie się przysłuchiwał temu, „kazai“, tej rekomendacji, którą Cioteczka mi ostentacyjnie przekazywała.

Cóż mi było w takiej chwili czynić? Rzuciłem się Cioteczce pod nogi i błagałem ją o to, żeby nie mówiła Wujkowi, jak szczęśliwie wróci z Zachodu, co też ja nie nabroiłem. Ciocia po pewnej chwili, zaczęła się tak zachowywać, jak by ją nawiedziła jakaś plaga pszczoł i otrząsając się (*chyba ze mnie?*) wreszcie powiedziała: „No już dobrze i wstań z podłogi i już mi nie bec! Ja się jeszcze zastanowię nad tym, czy mam Wujkowi o tym wszystkim powiedzieć, czy też nie “.

I w ten sposób zakończył się dla mnie, ten tak pięknie zapowiadający się dzień. Kładąc się spać, myślałem o Mamusi liście i o tym, że już niedługo, to i ja będę na własne oczy oglądał te przepiękne góry i skały. I z tymi myślami zasnąłem twarzym kamiennym snem. Rano, zbudziłem się z bolącą głową. To miało by znaczyć, że ten wczorajszy dzień, był dla mnie zbyt bogaty w te wydarzenia, które mnie przerosły! Ponadto, to istniała przecież i ta obawa, że Cioteczka o wszystkim być może, że i tak powie Wujkowi jak on z tego Zachodu wróci? Przez chwilę, pomyślałem sobie, że może było by lepiej, żeby Wujek z tego Zachodu wcale nie wrócił? Bo wtedy, nie musiał bym się tego obawiać, czy Ciocia mu powie, czy też nie.

Lecz niestety, ale Wujek wrócił i był obładowany dwiema ciężkimi walizami i jakąś torbą i jeszcze do tego, z plecakiem na plecach! Wyglądał bardzo, ale to bardzo żałośnie. Był zaróżniony na twarzy, wynędzniały i jakiś taki, nie bardzo pewny siebie? Cioteczka stojąc w rozkroku, z założonymi na swych bardzo okazałych biodreczkach rękami, ze stoickim spokojem wyczekiwała na relacje od Wujka o tym, co i jak on sobie z tym wszystkim na tym Dzikim Zachodzie poradził i o tych znaleziskach, które miały zarówno im, jak i ich dzieciaczkom zapewnić byt do końca ich życia. Jednak Wujek, jakoś nie kwapił się do rozmowy? W związku z czym, jak zwykle w takich okolicznościach, inicjatywę przejęła Cioteczka mówiąc: „No Zygmuś, zaczynaj zupełnie śmiało i bez żadnych zbędnych upiększeń!

I wał,tak prosto z mostu,co też ty nam z tego Dzikiego Zachodu w tych wielkich i ciężkich walizach i plecakach naprzywoziłeś,ciągnęła Cioteczka.Przypuszczam,że tam nie próżnowałeś i że nie na darmo przebywałeś przez ten cały czas poza domem?Sądzę,że twój wypad na tą dzicz,to nam się opłacił?Bo wyglądasz nie najlepiej.To znaczy,że nie próżnowałeś. Musiałeś się nie mało natrudzić,ale jestem o tym przekonana, że będziemy z ciebie zadowoleni i dumni.Bo ostatecznie,nie każdy wyjeżdża na ten Dziki Zachód.A to już jest coś.No dzieciaczki co o tym myślicie”?Cioteczka to mówiąc,zwróciła się do swoich pociech z tym samym pytaniem,które im stawiała przed wyjazdem Wujka na ten „Dziki Zachód”.I teraz,znów dzieciaczki odpowiedziały zgodnym chórem: „Tak Mamusiu“! A wujek w dalszym ciągu,jak by nie wiedział od czego by tu zacząć i przystępując z nogi na nogę i drapiąc się za uchem,tak niepewnie zaczął: „No widzisz Marychna,ta droga w tamtą stronę,to była bardzo trudna.Jak się już dostałem na dworzec kolei szerokotorowej,to mówię ci,że wagony już były pełne ludzi,a na stopniach wagonów,to ludzie wisieli jak winogrona! W ten sposób z Bożą pomocą,i z wielkim trudem,udało mi się znaleźć kawałek miejsca na stopniach wagonu”.

I w tym momencie,Wujek zrobił krótką przerwę,chcąc się zapewne przekonać,jakie wrażenie na Cioteczce wywiera to jego opowiadanie?Jednak zorientował się,że Cioteczka zaczyna się już bardzo,ale to bardzo niecierpliwić.Przy czym,należy o tym wiedzieć,że Cioteczka dosyć,że przez cały czas sobie stała w rozkroku a,że była jeszcze przy tym,„kobietą przy kości”,to tym samym,już wyglądała groźnie!Jednak,biorąc i to pod uwagę,że Cioteczka podczas słuchania jego relacji,zaczęła już tupać prawą stopą o podłogę,to biedny Wujaszek widząc to,natychmiast zdał sobie z tego sprawę,że to już nie są żarty.Jednak on,w dalszym ciągu,postanowił kontynuować dalej swoją opowieść i zaczął od słów:„A o tym Marychna,żeby się móc dostać

do wagonu, to nie było mowy! I w takich to warunkach przyszło mi jechać aż do końca. Ale chcę ci powiedzieć”, zaczął znów Wujaszek, *(który teraz pragnął już nieco szybciej przekazywać tą swoją opowieść, tym bardziej, że, dostrzegł już na twarzyczce Cioteczki tworzące się coraz bardziej intensywne kolorki)*, „że inni mieli jeszcze gorsze niż ja warunki jazdy”.

Ale Cioteczka nie wytrzymując dłużej tej jego paplaniny, w pewnej chwili, opuszczając przy tym ze swoich „bioderek” pulchniutkie rączęta, tak powiedziała: „Jakie inne jeszcze gorsze warunki jazdy można sobie wyobrazić? Czy ty mi tutaj chcesz zrobić wodę z mózgu”? A Wujek na to: „A widzisz Marychna, że mogą być jeszcze gorsze i to o wiele gorsze warunki jazdy na Zachód”? W tym jednak momencie Wujek poczuł na sobie bardzo wnikliwe spojrzenie Cioteczki. Stąd też, w przyspieszonym tempie, jakając się przy tym co chwilę i dbając wciąż o to, by Cioteczka mu nie zdołała przerwać jego opowieści, znów dodał żałośnie: „No, te gorsze warunki to mieli ci co jechali na dachach wagonów”. „I co z tego? Zapytała znów lodowatym już głosem? „Ty pytasz Marychna co z tego? No tak. Ty oczywiście, że nie wiesz! Ty tego nie możesz wiedzieć, no bo i skąd? Ale ja ci to wszystko po kolei opowiem. Jak ci już mówiłem, to pociąg był przeładowany i ludzie jechali na stopniach wagonów i na dachach”. Tu nieopatrznie Wujek zrobił króciutką przerwę, w celu nabrania oddechu, którą skwapliwie Cioteczka wykorzystwała mówiąc przez zaciśnięte zęby: Zygmus, „Zygmusśś Proszę cię i to barrrdzo, żebyś się już więcej nie powtarzał. Przecież ty mi to wszystko już mówiłeś. Czy ty nie masz mi nic więcej do powiedzenia, jak tylko to, że jechałeś tym cholernym pociągiem”?

Teraz Wujek zdał sobie sprawę z tego, że Cioteczki cierpliwość jest już na wyczerpaniu. Ryzykując jednak, postanowił swoją opowieść kontynuować: „Widzisz Marychna, z tym wszystkim jest nie tak. Bo ja chcę ci wszyściuchno tak prawdziwie opowiedzieć. Mówie ci, że to co ja przeżyłem, to było straszne”!

„Ten pociąg jak jechał,to po drodze mijał mosty i tunele”. „No i co”? znów wtrąciła Cioteczka. „I to”! z pełną złością odezwał się Wujek.W tym momencie,Ciocia spojrzała na Wujka takim złym okiem,dając mu tym samym do zrozumienia,że on z tymi swoimi opowiadaniem posunął się stanowczo za daleko.Lecz Wujek pomimo jej nacisku,w dalszym ciągu kontynuował tą swoją niekończącą się opowieść,nie starając się już dostrzegać Cioci kąśliwego spojrzenia. „Ci ludzie na dachu,to nie wiedzieli o tym,że tu są takie mosty i tunele.I podczas jazdy pociągu,ci ludzie spadali z dachów wagonów ponosząc śmierć na miejsu! A Cioteczka na to: „To mogli jechać jak ludzie i jak Bóg przykazał,a nie wspinać się na dachy”!Wujek w tym czasie przeleciał swoim smutnym wzrokiem po twarzyczkach swoich dzieci,które z ogromną ciekawością przysłuchiwały się tej niezwykle interesującej opowieści,która pochodziła przecież,było nie było,ale z ust ich Tatusia,który chciał znaleźć u swoich dzieci jakiegoś moralnego wsparcia.Oczywiście,że przeczuwał,to że jego Marychna,z pewnością za chwilę wybuchnie niczym wulkan!Lecz dzieciaczki,skromnie pospuszczały swoje oczęta ku dołowi,w oczekiwaniu na z góry przesądzony bieg wydarzeń. Wujek nie mając już innego wyjścia,nie dawał jednak za wygraną i tak oto ciągnął tą swoją opowieść: „Wysiadłem na jednej ze stacji,gdzie się pociąg zatrzymał.Bo widzisz Marychna, wszędzie trzeba mieć nosa.Domyśliłem się,że właśnie tutaj trzeba mi wysiąść,bo zobaczyłem,że bardzo dużo ludzi właśnie tutaj wysiadło!Reszta pojechała jeszcze dalej.Marychna,mówię ci,co to był za widok”!Wujek chciał dalej mówić,lecz w tym właśnie momencie,odezwała się Dziunia,która cichutkim głosem zwróciła uwagę na to,że Tatuś z pewnością po tak długiej i wyczerpującej podróży jest porządnie zmęczony i że chciałby napewno sobie chociaż na chwilę usiąść i odpocząć.

Cioteczka po chwili wachania i ku uciesze dzieciaczek,a w szczególności ku uciesze Wujka,raczyła wyrazić na to zgodę!

Dopiero teraz,nastąpiła chwila powitania tego,„światowca”,który przybył aż z,„Dzikiego Zachodu” i który widział taki kawał wielkiego świata!Cioteczka przesunęła się o dwa kroki w kierunku swojego męża,który korzystając ze sprzyjającej okoliczności,bardzo czule się z nią przywitał!Dzieciaczki biegły teraz do swojego tatusia,ściskając go ze wszystkich sił!

Z tą chwilą,zaczynały pękać lody i tak prawdę mówiąc,to tylko dzięki Dziuni,ten kotłujący się wciąż wulkan,w dalszym ciągu jeszcze sobie drzymał.

Wujek w tym czasie,ściągnął z siebie wielkie torbisko,które miał przewieszane przez ramię,i ten wielki plecak,który przez cały czas trwania rozmowy spoczywał na jego plecach.Następnie,zdjął z siebie płaszcz i marynarkę.Zygmus podbiegł i zdjął tatusiowi z nóg buty.Cioteczka w tym czasie z Hanią i z Dziunią poszły do kuchni,żeby przygotować coś do zjedzenia.Natomiast Wujek,korzystając z chwilowego zawieszenia broni,znając przy tym doskonale Cioteczki zmienne nastroje,wziął „nogi za pas”i tak, jak partyzant z wyciętego lasu,tak i on,pobiegł czym prędzej do łazienki,w celu doprowadzenia siebie do należytego wyglądu.Cioteczka z dziewczynkami w międzyczasie już zastawiła stół,zapraszając nas wszystkich,do zajęcia przy stole swojego miejsca.Usiadłem i ja,czekając na to co dalej się będzie działo?Wujek,odmłodzony,wymyty,ogolony i pachnący podszedł do stołu i podał Cioteczce takie małeńkie pudełeczko.Ciocia,bezcremonialnie je położyła na stole,prosząc wszystkich jeszcze raz,byśmy wreszcie zasiedli przy stole.Sama jednak wstała od stołu i po chwili pojawiła się z butelką wódki w ręce,którą ostentacyjnie postawiła na stole tuż koło Wujka mówiąc: „To kupiłam Zygmus dla ciebie i sobie powiedziałam,że jak wrócisz szczęśliwie do domu,to wypijemy sobie razem na nasze szczęście“.Wujkowi ze wzruszenia,oczy zapełniły się łzami i pro – mieniejąc ze szczęścia,poprosił,aby jego kochana Marychna jednak teraz zechciała to małe pudełeczko otworzyć.

Z tą chwilą,nastąpiła taka cisza „jak by makiem zasiał“ i tylko było słycać brzęczenie much,które natarczywie latały nad naszymi głowami.Obecnie,wszyscy w pełnym napięciu czekaliśmy na tą chwilę,w czasie której Cioteczka to małe pudełeczko wreszcie otworzy. Wiedzieliśmy o tym,że jeżeli to „coś”,które się w tym malutkim pudełeczku znajduje,Cioteczce się spodoba i przypadnie jej do gustu,to będzie znaczyło,że Wujek jest uratowany!A jeżeli nie,to z nim będzie źle!

W tym właśnie momencie,można by powiedzieć,że ważyły się Wujka losy.On teraz siedział pełen niepewności,oczekując na werdykt,który za chwilę zostanie wypowiedziany ustami jego Marychny.Cioteczka zupełnie spokojnie,podniosła pudełeczko ze stołu i swoimi pulchniutkimi paluszkami,uchyliła jego wieczko.Z tą chwilą,nasze spojrzenia skierowane były na jej twarzyczkę.Przecież to było w tym momencie najważniejsze!A jej wyraz twarzy,mówił sam za siebie!Cioteczka była tym niespodziewanym podarunkiem bardzo wzruszona i uradowana! Rzuciła się na szyję swojego męża światowca,który potrafił jej tym malutkim pudełeczkiem,sprawić taką wielką i radosną niespodziankę!A do naszych uszu docierały w tym czasie słowa,które Cioteczka swojemu kochanemu mężowi czule do ucha szeptała :„Oj Zygmus,Oj ty mój Zygmuuuuśśśiu“....

Tą bitwę wygrał Wujek!Lecz jak powiadają stratedzy,to bitew można wygrać bardzo wiele i wiele można ich też przegrać.Lecz w czasie prowadzenia działań wojennych,w efekcie końcowym zawsze liczy się to,кто zostaje zwycięzcą tej przez cały czas trwającej wojny ?Po tej niezwykle wzruszającej scenie przy stole zapanował miły nastrój.Cioteczka z Wujkiem wódeczką zakrapiali ten piękny,wydawać by się mogło,że złoty pierścionek.*(Cioteczka jeszcze o tym nie wiedziała,że ten pierścionek był tylko pozłacany)*.Rozpoczęła się seria toastów,a to za szczęśliwy Wujka przyjazd,żeby się ten pierścionek dobrze nosił,za to,że Wujek cało i zdrowo i do tego z takimi bagażami,

zdołał dotrzeć do domu. Na stole znalazła się bardzo smaczna kiełbasa, chrzan i wiele innych smakowitości? Dla mnie, ten dzień okazał się również wyjątkowym, bo nie musiałem dzisiaj paść kóz.

Z każdą chwilą, stawałem się spokojniejszym, ponieważ przypuszczałem, że Cioteczka będąc w pełni zadowolona przybyciem Wujka, nie powie mu o tym, co ja ostatnio przeskrobałem. Lecz niestety, ale ten błogi nastrój, trwał do czasu poproszenia Wujka, aby zechciał wreszcie pokazać to co on w tych dwóch ciężkich walizach, (*już nie mówiąc o tej wielkiej torbie i plecaku*), z tego „Dzikiego Zachodu” naprzywoził. Wujek jak to usłyszał, to zaczął się tak skręcać, niczym piskorz w wodzie, pragnąc zapewne tym sposobem przedłużyć na ile to tylko by było możliwe, tą chwilę, w której to tak, czy inaczej, będzie zmuszony zaprezentować te wszystkie łupy, które przez niego zostały tutaj przywiezione. Ale Cioteczka, spoglądając raz na pierścienek, to znów na swojego męża, w dalszym ciągu wykazywała swoją stanowczość. „No Zygmus! Zaczniemy od tej wielkiej brązowej walizy“! Wujek słysząc te słowa, bez sprzeciwu podszedł do wskazanej walizy i z pewnym ociąganiem się zaczął manipulować przy jej zapięciach. Po czym, przystąpił do odpinania pasów. Walizka była już przygotowana do otwarcia, lecz Wujek zwlekał z podniesieniem jej wieka? „Zygmus, dlaczego nie otwierasz tej walizki“?, zapytała Cioteczka. Przecież wszyscy jesteśmy bardzo ciekawi, tego, co tam się w niej znajduje. Nieprawdaż dzieciaczki? I tu Cioteczka znów swoim zwyczajem, skierowała to swoje wymowne spojrzenie w kierunku swoich dzieci. A dzieci, zgodnym chórem odpowiedziały: „Taak Mamusiu“! „No widzisz i słyszysz“, kontynuowała Cioteczka. „Takiś stary i takiś głupi i uparty! Zupełnie niepotrzebnie drażnisz mnie i nasze kochane dzieci. Pokaż, że wreszcie co też tam w tej walizce jest w środku“! Wujek chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz Cioteczka bezceremonialnie podeszła do wali-

zy i jednym ruchem ręki podniosła jej wieko. W tym momencie naszym oczom ukazały się przeróżnego rodzaju bagnety, topory, kule z łańcuchami, jakieś starodawne pistolety, dziwne bo z drutu wykonane koszule i tym podobne rzeczy? Ciocia, na widok tego żelastwa zaniemówiła. W jednej chwili, stała się biała jak trup, by po chwili przybierając na twarzy barwę różu, przejść z kolei nie w kolor czerwony, lecz w kolor ciemnego purpuru! Cioteczka po chwili z hukiem opadła na wcześniej przez Haneckę podstawione krzesło i przytłumionym głosem Wujka zapytała: „A co masz w tej drugiej walizie i w tej torbie i w plecaku”? Wujek chcąc za wszelką cenę ratować zaistniałą sytuację, zaczął się przed Ciocią jak gdyby spowiadać, starając się zaczynać swoje opowiadanie, tym razem od końca. „Marychna, w tej torbie i w plecaku mam takie różne rzeczy, które ci się z pewnością przydadzą”. „Mów do rzeczy i konkretnie co tam masz”? rzęziła Cioteczka przez zęby. „W tej torbie i w plecaku” zaczął Wujek, „to mam takie różne rzeczy do kuchni, jakich jeszcze nigdy nie widziałaś! I różne sukienki dla ciebie i dla dziewczynek. No i mam coś oczywiście, że i dla Zygmunusia”. I Wujek mówiąc to, uśmiechnął się błogo, kierując swoje spojrzenie w stronę kochanego syna, przymykając w tym momencie jedno oko. Wujek w tej chwili wyglądał tak, jak sto nieszczęść! Uśmiech na jego twarzy, był taki sztuczny! I ten jego angielski wąsik pod nosem, wcale mu teraz nie pasował? Najgorszym dla niego, to był ten strach, przed tym co go jeszcze czeka? „A w tej drugiej walizie”, Cioteczka po chwili zapytała tak od niechcenia i z pełną rezygnacją. Wujek nie chcąc najwidoczniej pogarszać tej swojej i tak już fatalnej sytuacji, odpowiedział krótko i pewnie: „to samo, co w pierwszej”. Cioteczka po usłyszeniu tej odpowiedzi, osunęła się jeszcze niżej na swoim krześle i od tej chwili, już nie odezwała się więcej ani słowem. Hania i Dziunia, niepewnie podeszły do tej dziwnej torby i plecaka, z których zaczęły wyciągać przeróżne sukienki, spódnice, a także spodnie,

rękawiczki, kapelusze, co chwile piejąc głośno z zachwytu, lub parskając śmiechem, wówczas, gdy zakładały na głowy przeróżne kapelusze, to Cioteczka nawet przez moment nie spojrzała w ich stronę. Dopiero z chwilą, gdy zaczęły wyciągać takie rzeczy, które by mogły być przydatne do kuchni, to od czasu, do czasu, raczyła powiedzieć: „To nam się może przydać lub :„To nam może być potrzebne“. Zachwytu już w tym czasie żadnego nie wykazywała. Za to Zygmus, miał pełne ręce roboty! Ponieważ opróżnienie tych dwóch wielkich nie walizek, ale wielkich waliz i to z takiej ilości żelastwa, nie było sprawą ani łatwą, ani lekką! Ale ile to radochy miał ten chłopak! Jak też on się cieszył! Każdy bagnet, czy miecz, czy szablę, to oglądał po kilka razy dziennie! Mnie nie pozwalał niczego dotykać, mówiąc, że to jest jego! Trzeba przyznać, że co niektóre eksponaty, były bardzo, ale to bardzo interesujące. Wśród nich, były krótkie miecze, około 80 cm długie, które po jednej stronie miały gładkie ostrza, a po drugiej były ząbkowane, lub faliste. Były tam również mizeri – kordie. Przeróżne pistolety, bandolety itp. itd.

Z uwagi na „dostawę towaru”, która pochodziła z „Dzikiego Zachodu“, to powstały pewne kłopoty, wynikające z powodu braku miejsca. To żelastwo i co tu dużo mówić, do tego jeszcze w takiej ilości, należało przecież gdzieś umieścić! Zygmus grzecznie zapytał Mamusie o to, gdzie on to wszystko ma umieścić? Cioteczka odpowiedziała krótko: „A róbcie sobie teraz z tym wszystkim co wam się rzywnie podoba“! No to i Zygmus tak zrobił! To znaczy, opróżnił z takiej fajnej komody, która miała szfulady, wszystkie rzeczy osobiste cioteczki i siostrzyczek, oraz moje. I właśnie tam władował te całe swoje żelastwo, które zostało przytargane przez jego tatusia aż z Zachodu! Trzeba powiedzieć, że to żelastwo w tych szufladach, prezentowało się nawet ładnie. Powstało trochę zamieszania z powodu tej komody, ale ponieważ Zygmus był zarówno u Cioteczki, jak i u Wujka oczkiem w głowie, to siostrzyczki nie miały żadnych szans na

to,aby móc wygrać ze swoim braciszkiem.A o mnie, to już się nie mówi.Ciocia z Wujkiem,przez kilka dni,to wcale się do siebie nie odzywali.Jeżeli już,to tylko na zasadzie dzień dobry i do widzenia.Te ciche dni,trwały tak długo,aż ta sprawa wyjazdu Wujka na„Dziki Zachod“nie wywietrzała im z ich głów.Okazało się,że możliwość szybkiego i łatwego z bogacenia się i to na ludzkiej krzywdzie,jest nie realna!

Po kilku dniach,kiedy wszystko już prawie,że wróciło do swojej normy,Cioteczka powiedziała Wujkowi o liście,który ja dostałem od mojej Mamusi.Wspólnie go przeczytali i zarówno Cioteczka,jak i Wujek,po dokładnym (*kilkakrotnym*)zapoznaniu się z jego treścią,doszli tym razem do wspólnego wniosku. Bowiem postanowili,że tym razem,sprawę która dotyczy „He – lenki“,(*to znaczy mojej Mamusi*) *przeanalizują wspólnie i w sposób bardzo dokładny,to znaczy z myślą o korzyściach dla siebie*).Mając przy tym to na uwadze,że Wujek już co nieco „liznął”tego Zachodu,to tym bardziej właśnie on będzie wiedział co i jak z tym„fantem”oni mają zrobić?

Po pierwsze,to Wujek chciał ustalić na podstawie starych map,gdzie się ten Łokietek znajduje?Lecz niestety,ale pomimo długo trwających poszukiwań,na żadnej mapie tego Łokietka nie zdołano znaleźć?Ta nazwa,nigdzie nie występowała i to ani w języku polskim,ani w języku niemieckim?Gdzież do licha ten Łokietek mógł się znajdować?Cioteczka,po chwili namysłu powiedziała: „Ten Zachód,to chyba nie jest taki mały i dlatego są nam potrzebne jeszcze i inne mapy“!Wujek przyjmując tą Cioci wypowiedź jako pojednawczą,to od razu poczuł się o wiele lepiej.Teraz Wujek zaczął opowiadać o tym,co faktycznie wi – dział i co słyszał.Mówił,że na tym Zachodzie,to są całe miasta opuszczone przez Niemców i że Niemcy uciekali tak jak stali. To znaczy,że nic ze sobą nie zabierali.Pozostawiali swoje mieszkania urządzone z radiami,fortepianami,meblami,frankami i z pełnymi szafami bielizny!

Mówił, że Polacy teraz zasiedlają zarówno miasta, jak i wioski i że wchodzi do już gotowych i zagospodarowanych mieszkań i że od razu mają wszystko własne!

Wspominał też o szabrownikach, którzy to grabią wszystko z mieszkań i ładują na samochody ciężarowe i jadą z tym do Polski. A Ciocia na to: „A tam, to nie jest Polska“? „Tam też jest Polska, ale nie taka sama jak nasza”, wyjaśniał Wujek. „Bo tam, jest też Polska, ale Zachodnia”. Mówił też o takich ludziach, co to tak gdy mówią, to tak śmiesznie zaciągają. I to by się zgadzało z tym, co Mamusia pisała w liście. A Cioteczka tak cierpliwie go słuchała i słuchała i w pewnej chwili, już nie mogąc dłużej wytrzymać, Wujka zapytała dlaczego on z tego Zachodu nie przywiózł bardziej cennych rzeczy, jeżeli tam tyle wszystkiego leży i czeka na ludzi? A Wujek na to: „Bo widzisz Marychna, to naprawdę nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Bo po pierwsze, to żeby móc z tamtąd przywieźć meble, albo fortepian, to trzeba mieć samochód ciężarowy. A oprócz tego, to samemu tego na samochód nie załadujesz. Poza tym, to tam za takimi szabrownikami, to już węższy milicja. No a jeśli chodzi o cenne rzeczy, to Niemcy nie są takimi głupcami za jakich my ich mamy. Bo oni, nie mając możliwości zabrania ze sobą co cenniejszych rzeczy, to wszystko gdzieś chowali. Jak któryś z nich miał ogródek, to co cenniejszego, to zakopywał w ziemi, albo zamórował gdzieś w ścianie. Ciocia słysząc to, w pewnej chwili tak powie – działa: „Okazuje się, że ci Niemcy, to są jednak dosyć mądry ludzie. I to dlatego ty z tego Zachodu przywiozłeś to wszystko, czego inni już nie chcieli brać“? „No nie zupełnie tak. Bo ostatecznie, to złoty pierścionek, nie wypowiadając ci go przecież, to jednak Ci go przywiozłem”. „No to i prawda, ale tyko jeden. Bo kto wie, jak byś tam wtedy w tym domu dłużej pobył i tak jak trzeba powęszył, to być może, że trochę więcej byś ich tam znalazł? Gonił cię tam kto po tym domu, czy co“? Wujek dla świętego spokoju, już wolał przerwać to swoje opowiadanie, czując

czym się to znów może zakończyć. Zbliżał się dzień 22 Lipca, a wraz z nim, jak się okazało, po raz pierwszy w tym dniu, będzie obchodzone to jego wielkie święto! Ci, którzy nieco więcej o tym święcie już wiedzieli, to twierdzili, że jest to Święto państwowe. Lecz tych, którzy tak twierdzili, to wśród nas było bardzo mało. Ja, oczywiście, że nie wiedziałem co to może być za święto? Przypuszczałem, że nikt ani z Bigoszewskich, ani z rodziny Stępników, również nie bardzo wiedzieli co to jest za święto? W każdym razie, wiadomym było, że z uwagi na to święto, to w parku Hrabiny RembIELińskiej odbędzie się festyn. Strażacy podobnie jak ostatnim razem, znów zbierali fanty na loterie fantową. Przystąpiono do porządkowania parku, z którego okazjonalnie wycięto przepiękne stare drzewo (*mówiono, że laurowe?*). Bo ono było po kapitalistach i po obszarnikach! W tym dniu, wszyscy mieszkańcy miasta Krośniewic, w tym również i dzieci, mieli wpięte w kłapy marynarek, a kobiety w swoje bluzki, biało-czerwone kokardki. Z okazji tego święta, Straż Pożarna miała zaprezentować pokaz swoich sprawności. Z Kutna przyjechali ludzie z karuzelą! I to wszystko, będzie się odbywało oczywiście, że w parku Hrabiny RembIELińskiej.

Muszę w tym miejscu o tym wspomnieć, że ten park, w okresie swojej świetności, był piękny! Na jego terenie jeszcze do dziś, stoi to, co kiedyś nazywało się pałacem. To był 3 piętrowy obiekt, który został zbudowany w stylu renesansowym. Dach w sposób kunstowny pokryty miedzianą blachą, która obecnie przybrała już kolor zieleni. Na terenie parku, rosły egzotyczne drzewa, których konary strzelały bardzo wysoko w niebo, a inne znów, nurzały się w trzech dużych stawach, które były ze sobą połączone romantycznymi mostkami, przez które można się było dostać do tak zwanej „świętyni dumania“.

Znajdowała się również ujeżdżalnia koni, ze specjalnie w tym celu zbudowanym małym torem wyścigowym. Pamiętam, jak jeszcze mieszkałem z Mamusią w tej naszej norze, to kie-

dy zasypiałem, to zawsze Mamusia mi opowiadała swoje przygody z przed lat. Opowiadała mi również o takim dziwnym cokole, który *(być może, że i do dziś jeszcze stoi na terenie parku)?* Otóż ten cokół został tam postawiony *(zdaniem Mamusi)*, ku pamięci angielskiego konsula, który poniósł śmierć w czasie polowania. Z tym konsulem, jak Mamusia mówiła, to była przedziwna sprawa. I mówiąc o nim, to tak zaczynała: Pewnego razu, zostaliśmy wraz z twoim Tatusiem zaproszeni na przyjęcie do naszych bardzo serdecznych przyjaciół, którzy mieszkali w odległości około jednego kilometra za parkiem. Atmosfera na tym przyjęciu była wyśmienita! Bawiliśmy się świetnie! Ciebie synku w tym czasie, to jeszcze na świecie nie było. Byliśmy już dosyć zmęczeni, więc postanowiliśmy się wybrać do domu. Opuściliśmy więc to rozbawione towarzystwo, rozstając się z wszystkimi gośćmi „po angielsku“, co w owym czasie w tak zwanych „sferach“ było przyjęte i dobrze widziane. Pogoda była wspaniała i księżyc *(jak by to Dziadzius Bigoszewski powiedział)*, świecił tak, jak rybie oko! „My z Tatusiem tak sobie idziemy i idziemy, aż doszliśmy w pobliże pałacowej bramy. I w tym miejscu, chcieliśmy sobie skrócić drogę, która prowadziła do naszego domu. Tutaj właśnie, na wysokości bramy, było skrzyżowanie dróg i jedna z nich, prowadziła właśnie na ulicę kolejową, na której myśmy mieszkali. W pewnej chwili, dyskretnie szturcham łolciem Tatusia w bok i pytam, czy widzi? Tatuś pyta mnie z kolei, „a o co ci Helenko chodzi?“” A ja już dobrze wystraszona, pokazuję ręką w kierunku pałacowego muru. Ta – tuś patrząc w tamtą stronę, mi odpowiada, że niczego szczególnego nie dostrzega? A ja na to: „To przyjrzyj się lepiej”. I pokazuję ponownie w tamtą stronę na mur. Tatuś po chwili wpatrywania się, powiada do mnie: „Helenko, ty masz chyba jakieś przewidzenia“. „Ja, już dłużej nie wytrzymałam i nieco głośniej pytam Tatusia, czy nie dostrzega pod murem tego wysokiego jegomościa w cylindrze i w smokingu, który prowadzi na świe-

concej smyczy ogromnego psa?A Tatuś ponownie mi odpowiedział, że doprawdy, ale niczego tam nie widzi!, „Ale ja widzę”, odpowiedziałam. Bo faktycznie, że na własne oczy widziałam, jak bardzo wysoki jegomość, który sprawiał takie wrażenie, jakby nie szedł, ale się przesuwiał wzdłuż tego muru z tym psem i w pewnej chwili, on przeniknął przez pałacową bramę i tym samym znikł mi z oczu”! Okazało się, że nie tylko ja, ale i inni ludzie przekazywali sobie podobne informacje i twierdzili, że widzieli (*również na własne oczy!*) właśnie tego tajemniczego człowieka z psem. A inni, przypuszczali, że to być może, był tego konsula duch? Natomiast jeszcze inni twierdzili, że z pewnością to jest pokutujący angielski konsul.

Mur pałacowy, jak na owe czasy, był rzeczywiście imponujący! Okalał on cały teren pałacowy i miał wysokość około 2,5 metra. Był zbudowany z pięknej czerwonej klinkierowej cegły. I właśnie na tym terenie, tym razem, odbywała się niezmiernie doniosła impreza, z okazji obchodzonego po raz pierwszy Święta 22 Lipca! Jak wynikało z plakatowych treści, które zostały porozlepiane, prawie że na każdym płocie, to była impreza, która została zorganizowana dla „Ludu pracującego miast i wsi”! Po całym mieście, zostały rozlepione plakaty z napisem „22 Lipca”! Gdzie byś nie spojrział, to wszędzie było czerwono! Jeden z plakatów przedstawiał mężczyznę w okularach, z przewieszonym na plecach węzełkiem, który czytał jakiś nikomu dotąd nieznan, „Manifest Lipcowy PKWN”?

Nastał wreszcie ten dzień, oczekiwany między innymi również i przez rodzinę Stepniaków. Bowiem w tym dniu ten festyn między innymi miał być uświetniony obecnością dwóch strażaków, w osobach młodszego i starszego Stępnika! W tym dniu, oni obaj, a jakże mieli na sobie strażackie mundury! Na głowach mieli złote strażackie kaski. a w mundury były wpięte biało-czerwone kokardki. Wszyscy razem po mszy żwiętej, udaliśmy się do parku, gdzie spotkaliśmy się z moimi Dziadkami i

z Wujkiem Mietkiem. Bigoszewscy, byli również odświętnie ubrani. O sobie, wolę nie wspominać. Miałem jednak również tak jak wszyscy inni, wpiętą w moją koszuline biało-czerwoną kokardkę. Pogoda była wspaniała! A orkiestra grała na całego! Przy karuzeli, kręciło się pełno dzieci i to w różnym wieku. Więc i ja pobiegłem w tamtą stronę, aby się chociaż przypatrzeć tym konikom i samochodzikom, co to się tak w kółko kręciły. Jed – nak nieostałem tam zbyt długo, bo w pewnej chwili podeszło do mnie dwóch starszych chłopców i jeden z nich mi zerwał tą biało-czerwoną kokardkę i powiedział mi, że ja nie mam prawa jej nosić, bo jestem Niemcem. „I lepiej spięszaj stąd, jak nie chcesz jeszcze dostać po mordzie“! Tego, nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Wziąłem nogi za pas, i w ten sposób w bardzo krótkim czasie znalazłem się znów w pobliżu moich krewnych. Od tej chwili, już do końca naszego pobytu w parku, nie oddalałem się zbyt, starając się być przez cały czas w kręgu „bezpiecznej orbity“.

Od tego czasu, minęły dwa tygodnie, po których listonosz Cioteczce doręczył powiadomienie o paczce. Byłem święcie o tym przekonany, że jest to paczka od mojej Mamusi. Przecież pisała w liście, że mi coś przyśle. Ciocia wsiadła na rower i pojechała na pocztę. Po niedługim czasie, wróciła taszcząc ze sobą dużych rozmiarów pake! I okazało się, że miałem racje! To była paczka od mojej Mamusi! Byłem niezmiernie ciekawy, co też mi ta Mamusia naprzysyłała? Może od tej pory, już będę chodził trochę lepiej ubrany? Może wreszcie i ja ,będę miał w czym chodzić? Przecież wiedziałem, że inni chłopcy nie mają takich butów, przy których im się palce u nóg wietrzą. Jak do tej pory, to z tymi butami dla mnie, było tak, że to co zdarł Zygmus, to dawano mnie. On miał zawsze wszystko nowiuśkie. Ładnie wyprane i wyprasowane. A moje rzeczy, to były zawsze takie pomiętolone, jak by były „psu z gardła wyjęte“. Te buciki, w których teraz chodziłem, to mnie bardzo uwierały.

Ja, mimo, że byłem od Zygmunta młodszy, to na moje nieszczęście, miałem od niego większą stopę! I stąd też, z wielką niecierpliwością czekałem na otwarcie tej wielkiej paki! Ale Cioteczka się wcale nie śpieszyła by ją otworzyć? Powiedziała, że jak Wujek wróci z pracy, to dopiero wtedy paczka się otworzy. A teraz, to mogę sobie trochę na dwórze polatać. Bardzo się z tego ucieszyłem, że nie muszę być z kozami i że mogę sobie pójść na dwór i pobawić się tak, jak się bawią inne dzieci. Wybiegłem na dwór i urzędowałem w ogrodzie, spoglądając co pewien czas czy Wujek z pracy już nie wraca? Wreszcie go dojrzałem! Podbiegłem do niego i mu powiedziałem, że Mamusia przysłała do mnie paczkę i że zaraz będziemy ją otwierali i że Cioteczka specjalnie czeka, aż Wujek wróci z pracy, żeby paczkę przy nim otworzyć. Wujek z pewnym zdziwieniem na mnie popatrzył i machnął ręką tak, jak by się odganiał od much. Dotarliśmy do domu. Tutaj, jak zwykle, powitanie. Po zdaniu przez Wujka relacji o tym co i jak w pracy i na świecie, Wujek zapytał o paczkę? A ja w tym momencie, wystawiłem takie wielkie uszy, że i największy słoń świata takich uszu by się nie powstydział. Ale Cioteczka, najspokojnie w świecie, tak powiedziała: „No wiesz, otworzyłam tą paczuszkę i nic tam takiego w niej nie było! Parę rzeczy, owszem dla Hani i Dziuni, trochę rzeczy i dla mnie. A poza tym, to jakieś spodenki i pare skarpetek“.

Nie wierzyłem w to, co Ciocia mówiła! Przecież Mamusia z pewnością to coś dla mnie też przysłała. To jest niemożliwe, żeby w paczce wysłanej dla mnie, nic dla mnie nie było? Ale ja nie miałem prawa się odzywać, bo u Cioteczki mnie uczono, (*na zasadzie tresury*) i wpajano podczas tych, „Ciocinych” lekcji, najprzeróżniejsze zasady, a z pośród nich i tą, że „Jak cię nie pytają, to nie odpowiadaj“. A mnie przecież w tej chwili nikt o nic nie pytał. Wkrótce, miałem się o tym przekonać, że jednak Mamusia w tej paczce przysłała mi przepiękne rzeczy! Zbliżyła się niedziela.